



N^o 42.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 14 października 1876 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom II.

Treść numeru. Rozdawanie nagród na wystawie rolniczej w Szawlach (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Gładyator Romy (wiersz). — Przegląd polityki zagranicznej. — Korespondencya od redakcyi. — Oho! Zagraj prowadzi... (drzeworyt). — W ogródku chrzestnej matki (drzeworyt). — Listy z wystawy filadelfijskiej (dalszy ciąg). — Pojedynek szlachejnych, komedya (dalszy ciąg). — Przedbórz (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Szewskie dziecko, powieść (dalszy ciąg). — Wojska regularne serbskie i tureckie (2 drzeworyty). — Wpływ ciśnienia powietrza na istoty żyjące (dokończenie). — Kobieta w Indyach, jej przeszłość i przyszłość. — Sztuka włoska w epoce odrodzenia (dalszy ciąg). — Stefan Lawrence, powieść (dalszy ciąg).



Rozdawanie nagród, po zamknięciu wystawy w Szawlach. Rysował na miejscu Szwojnicki.

Rozdanie nagród

NA WYSTAWIE ROLNICZEJ W SZAWLACH.

Przed dwoma tygodniami daliśmy czytelnikom naszym obszernie sprawozdanie o wystawie szawelskiej, która poraz drugi już odbyła się z powodzeniem, przynosząc rolnictwu i przemysłowi prowincyj zachodnich korzyść niemałą, a obiecując nierównie większą jeszcze na przyszłość.

Dziś dopełniamy ten opis, zamieszczając rysunek zdjęty na miejscu przez specjalnego rysownika naszego, przedstawiający rozdawanie nagród odznaczającym się wystawcom.

Lista tych ostatnich jest zbyt długa, abyśmy wszystkich nagrodzonych wymienić tu mogli; ograniczamy się więc na przytoczeniu nazwisk tych tylko, którzy otrzymali medale złote, lub dyplomy na nie.

Za staranną hodowlę i pracę około bydła:

1) Baron Ludwik Ropp, prawo na otrzymanie wielkiego złotego medalu ministerium dóbr państwa;

2) Waleryan Kierbedź, dyplom na złoty medal, z przyczyny otrzymania takiegoż medalu już w roku zeszłym;

3) Władysław Kierbedź, takiż dyplom i z tejże przyczyny;

Za trzodę chlewną:

4) Aleksander Naryszkin, dyplom na złoty medal.

Za przemysł, a mianowicie za fabrykację masy papierowej z drzewa:

5) generał Todleben, dyplom na złoty medal. Niezawisłe od tych nagród przyznano jednogłośnie:

6) Michałowi Gierdwojniewi medal złoty, za wzorowe przedstawienie całego procesu hodowli ryb, oraz narzędzi do ich łowienia.

Kronika tygodniowa.

Loterya fantowa, która nie mogła się doczekać promyka słonecznego przez kilka tygodni, odbyła się nareszcie w zeszłą sobotę, przy blasku najpiękniejszej pogody. Jakim trybem szła ta zabawa, opisywać nie myślimy, boć to rzeczy znane, a w sobotę nie nowego do zwykłego programu nie przybyło i żadna też niespodziewana nie ożywiła go okoliczność. Że jednak tego rodzaju rozrywka nie przeżyła się i na powabach nie straciła, dowód na to znaleźć można w zainteresowaniu się nią publiki nazajutrz, to jest w niedzielę, przy sprzyjającej również pogodzie.

Dochód ogólny uczynił podobno około 11,000 rubli, ile jednak zostanie dla ubogich po potrąceniu kosztów, to szczegółowe okażą obliczenia.

A teraz... bywaj zdrowa, loteryo! Żegnamy cię bez żalu, nie mając ci nic więcej do zawdzięczenia, jak zgubne pokusy wobec serc i głów naiwnych, które chciały się na tobie dobijać fortuny, a traciły tylko skromny zarobek. Nie byłaś ty moralną, nie dotrzymywałaś ponętnych wróżb szczęścia, a co prawda, nie umiałaś nawet przynieść wesolej, obojętnej rozrywki. Idź-że więc sobie w krainę zapomnienia i niechaj śmierć lekka ci będzie, boś miała zasługę jedną, jedyną: oto kokietałaś nie dla siebie, a wyludzałaś pieniądze dla płaczących i w nędzy pogrążonych.

Wyszła w tych dniach broszurka p. t. „Żydzi i Talmud“, skrócona przez W. L. S., na podstawie obszerniej pracy Rohlinga.

We wstępie autor tłumaczy się z intencji, jakimi powodował się w ogłoszeniu swego dziełka; wyjaśnia że Talmud nie jest-to bynajmniej księga, z której Żydzi czerpaćby powinni zasady swej wiary; dodaje jednak, że ogromna ich liczba stawia go wyżej nad Biblią i kieruje się prawidłami, z niego właśnie poczerpnętemi. Panu W. L. S. idzie głównie o wytknięcie niektórych szczegółów etyki talmudycznej, dotyka jednak i strony podaniowo-religijnej, w celu wykazania zabobonów

i przesądów, uwzględnionych w Talmudzie. Cała praca pana W. L. S. mieści się na 43 stronicach, łatwo więc się domyślić, że musi być pobieżną, dokładnego wyobrażenia o rzeczy nie daje.

Że w Talmudzie są ustępy ujawniające etykę przewrotną, nikt temu nie przeczy; że jednak przyjdzie czas, w którym Żydzi ucywilizowani i wcieleni w organizm społeczny tej właśnie etyki przewrotnej ze wstrętem się wyprą, wierzymy wto całą siłą. Wytykanie jej nie może przynieść pożytku, bo samo przez się usunąć jej nie potrafi, a zadrażniając obustronne stosunki, wpływy cywilizacyjne odwleka tylko i przytępia. Broszurka p. W. L. S., jako interesująca co do szczegółów, poczytną niezawodnie się stanie, a wówczas, niestety, zasieje lub odżywi niejedno ziarno przygluszonej już niechęci...

Talmud, jako zbiór literatury hebrajskiej z pierwszych wieków tułactwa żydowskiego, jest przedmiotem bardzo obszernym do wszechstronnych badań. Badania te powinny być jednakże poważne i wyczerpujące, aby w nich utonąć mogła wszelka intencja... uboczna. Dotykając pobieżnie niektórych szczegółów, którym tu i owdzie inne przeczą i znoszą je, przedstawianie ich bez krytyki poważnej, stanowić będzie zawsze dorywcę, a w gruncie stroną nawet pracę.

Czyliż nie lepiej godzić... milczeniem, aniżeli drażnić odgrzebywaniem tego, co przy świetle powszechnego postępu, jako złe i wstrętne, zgasnąć i runąć musi samo przez się?...

Rodzina Moniuszki świetną przygotowuje nam ucztę: zbiera troskliwie artystyczne sily do wykonania „Widm“ tego mistrza, owych „Widm“, w których stanął on na wysokości narodowego pieśniarza.

Współdział w wykonaniu przyjąć mają pierwszorzędni artyści naszej opery i orkiestry teatru Wielkiego, część deklamacyjną zaś obejmą panna Deryng i p. Tatariewicz.

„Widma“ słyszeliśmy razy kilka, częściowo i w całości, ale od śmierci Moniuszki utwór ten wspaniały spoczywał prawie zapomniany. Teraz, gdy po stracie mistrza, po upływie lat kilku, zdanie o jego działalności w masach stanowczo się urobiło, i „Widma“ niezawodnie inne wywołają wrażenie. Inaczej słuchać ich będziemy, inaczej je sądzić, a ci, co w poemacie tym połączonych słów i dźwięków widzieli niegdyś tylko utwór znakomity, dziś znajdą w nim niezawodnie coś więcej, bo arcydzieło rodzimiej pieśni.

Prywatna szkoła handlowa, istniejąca w Warszawie, jeszcze w roku zeszłym ogłosiła konkurs na Podręcznik do korespondencji handlowej w języku polskim. Termin konkursu upłynął właśnie, i wbrew wszelkim nadziejom pomyślnego skutku, nadesłano jedną tylko pracę, której wyznaczonej nagrody niepodobna było przysądzić.

Cóż się z tego okazuje?...

Oto najpierw, że w stanie kupieckim posiadamy niewielu takich, którzyby rzeczą swą znali gruntownie, lub też, że jakkolwiek znaleźliby się może tacy, trudniej zato o innych, którzyby, sami rzeczą gruntownie znając, drugich nauczyć jej zapragnęli.

Czy tak, czy owak, szkoła handlowa okazuje się potrzebną bardzo, a gdy nad ukształceniem młodzi kupieckiej popracuje lat kilka i konkurs wówczas ogłosi powtórnie, niezawodnie wypadnie on lepiej niż obecny.

I dziwić się temu nie należy. Stan kupiecki nie miał dotąd u nas środków kształcenia się szkolnego w swoim zawodzie, a ci co się uczyli gruntownie, czerpali wiedzę w zakładach obcych. W takich warunkach trudno o autora korespondencji handlowej polskiej, témbardziej że i między naszymi kupcami, niestety, bywa ona często rzeczą niepraktykowaną... Wyjątki są liczne, ale o ogóle twierdzić to można napewno.

Bardzo ważną pomocą w osiąganiu pomyślnych rezultatów z gospodarstwa rolnego są za granicą towarzystwa rolnicze, takzwane kółka (np. w w. ks. poznańskim i w Czechach,) które pozwalają zjednoczonym w nie rolnikom z ogólniejszego stanowiska badać i poznawać potrzeby i niedobory i wspólnie obmyślać na nie środki, niedostępne dla jednostek.

Kółka takie nie obejmują obszarów wielkich, lecz ograniczają się tylko do powiatów. Jakknajmniej tu zewnętrznej okazałości, a jaknajwięcej istotnego pożytku. Obrady zresztą w małych stonkownie zgromadzeniach są dostępnejsze, nie obejmując zaś spraw ogólniejszej doniosłości, łatwiej ogarniają szczegóły i drobnymi częstokroć środkami przyczyniać się mogą wielce do rozkwitu rolnictwa.

Otóż slychać obecnie, że i u nas ziemianie w Rawskim postanowili, za pozwoleniem i przy pomocy władzy, zawiązać takie kółko rolnicze, a podobno że i miejscowy zarząd administracyjny zamiarom tym sprzyja. Jest-to dobrą wróżbą dla projektu, który w zakresie legalnej pracy wielkie korzyści przynieść może. Rozstrzelone sily, w walce z oplakany stanem gospodarstw rolnych, przy wspólnym trudzie i naradach, opartych na doświadczeniu, z pożytkiem zwrócić się mogą ku źródłom ogólnej pomyślności. Rolnictwo nasze bardzo tego potrzebuje, jeżeli z biedy w nędzę przejść nie ma, a jeśli projekt zmieni się w rzeczywistość, ziemianom rawskim należy się będzie zasługa zacnego początkowania.

Przypomnieć się tu godzi, że parę lat temu w Kieleckim i Lubelskim myślano już o czémś podobnym, ale wówczas zamiar, po kilku próbach, spełzył na niczym.

Niestrudzony zbieracz pamiątek krajowych, sędziwy *Napoleon Orda*, przystępuje obecnie do wydania seryi trzeciej swojego „Albumu widoków gubernij grodzieńskiej, wileńskiej, mińskiej, kowieńskiej, wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej“, która w tych dniach już puszczoną zostanie w obieg. Pomimo wieku siedemdziesięcioletniego, p. Orda corok odbywa dalekie podróże, pieszo nieraz, z rysowniczą swą teką, zwiędzając miejscowości godne uwagi bądź pod względem historycznym, bądź pamiątkowym lub malowniczym, i przenosząc je na papier z umiejętnością artysty, gorąco w pracy swój rozmiłowanego.

Widzieliśmy odbicia widoków seryi trzeciej i zapewnić możemy, że przynoszą one zaszczyt zarówno panu Ordzie, który z wielkim poczuciem artystycznym w trafnym wyborze punktu zdjęcia przeniósł je na papier, jak zakładowi litograficznemu p. Fajansa, który starannie utrwalił je na kamieniu.

Wszystkie trzy serye dotychczasowe obejmują razem widoków 110, a mianowicie pierwsza 50, druga i trzecia po 30. Cena pierwszej wynosi rs. 15, dwóch następnych po rs. 10, jest zatem bardzo umiarkowaną. A warto, doprawdy, posiadać zbiór ten nieoszacowany tyłu zabytków krajowych, które wkrótce może zaginęłyby i w rzeczywistości i we wspomnieniu nawet, gdyby skrzętna dłoń artysty nie przekazała ich pamięci potomnych.

Oglądaliśmy także obfite materiały, które p. Orda nagromadził do następnych seryj swego wydawnictwa. Są tam między wielu innymi widoki: miasteczka Żyrowic w powiecie słonimskim, ze starożytnym kościołem, fundowanym w końcu XV stulecia przez Aleksandra Sołtana, a słynnym z cudownego obrazu N. P. Maryi żyrowickiej;—pałacu niegdyś kasztelanowej krakowskiej Klemensowej Branickiej w Białymstoku;—majątności Skoki, miejsca urodzenia J. U. Niemcewicza;—Kamieńca litewskiego, w powiecie brzeskim, grodu założonego w wieku XIII przez księcia Włodzimierza, zwanego Filozofem, gdzie u dziś dnia przechowała się baszta kamienna, sięgająca jeszcze czasów Jaćwieży;—wreszcie dom ojca Adama Mickiewicza w Nowogródku.

Wszystkie te cenne pamiątki będziemy mogli

wkrótce, dzięki uprzejmości p. Ordy, czytelnikom naszym przedstawić w drzeworytach.

* * *

Istniejąca już od dwóch lat w Kaliszu „Pracownia rzemieślnicza dla kobiet,” utrzymywana przez p. Aleksandrę Parczewską, przesłała nam sprawozdanie swoje, za czas od 1 września 1875 do tegoż dnia 1876 roku. Wyjmuje z niego cyfry cociekawsze.

W ciągu ostatniego roku uczęszczało do zakładu uczenie płatnych 39, bezpłatnych 12, razem 51; w tej liczbie panien 46, mężatek 4 i jedna wdowa. Podług stanów najwięcej było córek urzędników (17), dalej córek obywateli miejskich (16), kupców (7) i rzemieślników (tylko 3). Dowodzi to, że potrzeba chwycenia się pracy zarobkowej najbardziej właśnie czuć się daje między kobietami stanów średnich, w klasie urzędniczej i ziemiańskiej, nad którymi też najprzeważniej w ostatnich czasach zaciążyła pod tym względem żelazna ręka konieczności.

Blizko trzy czwarte ogólnej liczby uczenie, bo 37, zapisało się na kursa kroju sukien, szycia ręcznego i maszynowego; na buchaltery 6; na szewstwo 5; na modniarstwo 2; na kwaciarstwo 1. Kursa rękawicznictwa, introligatorstwa, oraz rysunku w zastosowaniu do rzemiosł, dla braku dostatecznej liczby kandydatek, nie zostały wcale otwarte. I tu więc, jak na każdym prawie u nas polu, spostrzegać się daje szkodliwa jednostronność w garnięciu się większości do jednego rodzaju pracy.

Pocieszający zato objaw stanowi ta okoliczność, że podczas gdy w pierwszym roku istnienia pracowni na 83 uczenie 21 tylko, a więc $\frac{1}{4}$, ukończyła właściwe kursa, w roku bieżącym na 51 ukończyło je 27, czyli więcej niż połowa, a z tych kilkanaście już założyło własne warsztaty i pracownie w różnych miejscowościach. Podobnie zanotować wypada, że gdy w r. 187 $\frac{4}{5}$ uczennice wyznania mojżeszowego zgłosiły się nie zgłaszały, w roku 187 $\frac{5}{6}$ pięć panien tego wyznania uczęszczało do zakładu.

Życzymy z serca, aby zacne usiłowania p. Parczewskiej w roku przyszłym pomyślniejsze jeszcze osiągnęły rezultaty.

GLADYATOR ROME.

FRAGMENT.

Jak zwierz był w klatce zamknięty. Z nim razem I kilku druhów niedoli.

Więc, jak zwierz w klatce, wstrząsał krat żelazem,
Próbując hartu zawady,
Marząc czy kiedyś Jowisz mu pozwoli
Powitać góry i pola Hellady.

Śród krwawej walki, gdy w złamane szyki
Rzymianin niósł orły swoje,
On jeden trwożne wstrzymał wojowniki,
Odwagę niecąc swym wzorem,
Choć miecz złamany miał, przebitą zbroję
I hełm na dwoje rozcięty toporem.

„Górą Hellada!... i jak z gór potoki
Runęli Grecy raz jeszcze...

„Górą Hellada!... lecz nieba wyroki
Znać chmurną przyszłość im wróżą,
Gdyż słyhać rzymskich surm dźwięki złowię
I padł wojownik, jak dąb ścięty burzą. [szcze...

Ranny—żył jeszcze... więc gdy z ran powstanie,
Weźmą go z sobą w niewolę,
I zakutego w cezara rydwanie
Tłuszczy okażą rycerza.
A straszną rzeczą czuć hanbę na czole,
Gdy w piersi serce ze stali uderza.

Lata niedoli wytrzyma ochotnie;
Lecz gdy mu w oczy plunie tłuszcza harda,
Gdy go w obrózę zakuja sromotnie,
Na cyrku skażą męczarnie...

I choć zwycięży... okryje go wzgarda,
I choć zwycięży... paść musi, paść marnie...

To straszne!... on ma i matkę i siostrę...

Tam w Grecyi... żonę i dziecię...

Więc jakby w pierś mu wbił kto groty ostre,
Taka w niej skarga się budzi:

„Po mnie sieroty dwie będą na świecie
Tęsknić i żebrać liłości u ludzi!”

„Łaski, zwycięzco!...”

Lecz Roma z kamienia,

W cyrk płynie rozpustna tłuszcza;
Trybuna niewiast w wian kwiatów się zmienia;

Wszedł cesarz z drużyną wierną,

I strażnik króla pustyni wypuszcza,

Rycerza drugi—w arenę niezmierną.

Greki spojrzali dumnie w pijane krwią rzesze.

„Witaj cesarzu! w dniu skonu! (*)

Zanim cię w walce krwią moją rozśmieszę,

Dla jęca łaskę zrób jedną.

Patrz, rzucam *mię* (***) do twojego tronu,

W ojczyźnie żonę i matkę mam biedną.

Dla nich ten pieniądź... a pomnij, cesarzu,
Że grosz to sierot, grosz wdowy!”

Lecz w cyrku wokoło wrogie tylko twarze.

Więc smętno spojrzali w te strony,

Zkąd wężąc zdobycz, pustyni syn płowy

Czaił się zwinnie i ostrzył już szpony.

Cóż śmierć Grekowi, gdy Grecya zabita,

Świetna jej przeszłość zatarta?

Choć w lwa spojrzaniu męczeński los czyta

Wzniósł miecz gladyator i czeka.

.

.

Nagle ryk głuchy—szmer potem—i piaski

W krwi króla zwierząt skapanie,

A tłum, jak jeden mąż, zawołał: „łaski!”

Gdyż we krwi pyszny lew brodzi,

A Grek mu z miecza oswobadza ranę

I drugim ciosem weń godzi.

„Ach, łaski... dla lwa!”

Za chwilę zwierz inny

W cyrkową rzuca się nawę.

Straszny jak piorun i jak piorun zwinny,

Msząc strumień bratniej posoki.

W oklasków gromie i przy grzmiącym „Ave!”

Miotał się, szarpiąc gladyatora zwłoki.

* * *

Zwycięzka Romo! ty, coś na świat wiodła

Groźne kohorty po pewne zwycięstwa...

Patrz, w proch upadły twych liktorów godła,

W gruzach twe wielkie cezary, Maryusze,

A z ciał pobitych ofiar i z męczeństwa

Z krzyżem wyrosły nieśmiertelne dusze.

Świat ci bił czołem, świat drżał u twój nogi...

Dziś z dawniej sławy gruzy, popieliska;

Ręką Iliotów ulepione bogi

W prochu—po grobach wodzów wicher wyje

I słońce chwały więcej ci nie błyska,

A Grecya wolna i lud grecki żyje!

Feliks Ko

Przegląd polityki zagranicznej.

13 października.

Po wyczerpaniu rozpraw w przedmiocie przypuszczalnej interwencji rosyjsko-austriackiej, dzienniki żywo zajmowały się w bieżącym tygodniu projektem konferencji czyli kongresu. Okazało się jednak, iż wszystko to oparte było jedynie na domysłach. Z urzędowych źródeł dowiedziano się, że mocarstwa ostatecznie zażądały od Porty i Serbii rozejmu, aby tym sposobem mieć dosyć czasu do narad i układów. Przypuszczano powszechnie że Porta odrzuci to żądanie: stało się atoli przeciwnie. Telegram z Konstantynopo-

(*) Caesar, morituri te salutant.

(**) Pieniądź grecki.

la z d. 10 b. m. doniósł, że rada ministeryalna zgodziła się na sześciomiesięczne zawieszenie broni. Telegraf nie podaje szczegółów, to jest warunków pod jakimi Porta zgodziła się na żądanie mocarstw; jeżeli wszakże wiadomość ta się potwierdzi, to przyznać wypadnie, że położenie zmieniło się radykalnie. W rzeczy samej, niepodobna przypuścić, aby mocarstwa nie zdołały wynaléć do marca roku przyszłego właściwego sposobu rozwiązania nagromadzonych trudności.

Bądź co bądź, wyznać należy, że mocarstwa mają przed sobą Herkulesową pracę. Porta w gruncie rzeczy nie może w nikim budzić zaufania, więc i reformy, przez nią całemu państwu tureckiemu przyobiecane, pozostaną martwą literą, jeżeli mocarstwa nie obmyślą dostatecznych w tej mierze rękojmi. Z drugiej strony, jak pogodzić różnorodne dążności i interesa mocarstw, z żądaniami Serbii, Czarnogórze, Słowian, Greków i Muzułmanów? Pozostawiając status quo w Serbii i Czarnogórze, mocarstwa spełnią część tylko swego zadania. Jeżeli nie udzielią Słowianom tureckim autonomii, to los ich nie będzie poprawionym; jeżeli zaś ją udzielią, to i Grecy wszelkie mieć będą prawo do takich samych ustępstw, a wtedy fanatyzm muzułmański wybuchnąć może z całą siłą i zniweczyć prace dyplomacyi. Widziemy tedy, o ile zadanie dyplomacyi jest drażliwym i trudnym.

Między generałem Czerniajewem i Abdul-Keirimem było w tym tygodniu żadnego ważniejszego starcia. Depesze zawiadamiają tylko o wycieczce walecznego Anticza na grunt turecki, która jaknajpomyślniejszym skutkiem uwieńczoną została. Antycz wyruszył w d. 7 b. m. z Jankowskiej Klissury, rozproszył kilka oddziałów mniejszych nieprzyjaciela i zajął dolinę Toplicy, wraz z miastem Kurszumlą. Tym sposobem jeden oddział armii Czerniajewa stanął na gruncie tureckim, o cztery mile od serbskiej granicy.

Na czarnogórskim teatrze wojny Muktar-basza, utrzymujący obecnie iż nie wiedział o zawieszeniu broni, napadł nagle w d. 6 b. m. na Czarnogórców i zabrał im dwa szanice. Nazajutrz stoczona została szesnastogodzinna bitwa, w której Turcy silną ponieśli klęskę i zmuszeni zostali do odwrotu. Według depesz cetyńskich, 1.500 Turków padło na polu bitwy, a co najważniejsza, Muktar-basza, jak zapewniają, otoczonym został przez oddziały czarnogórskie. Jeżeli podana przez nas wiadomość o rozejmie potwierdzoną zostanie, to szkoda tego nowego rozlewu krwi, niewiele bowiem wpłynąć może na przebieg układów.

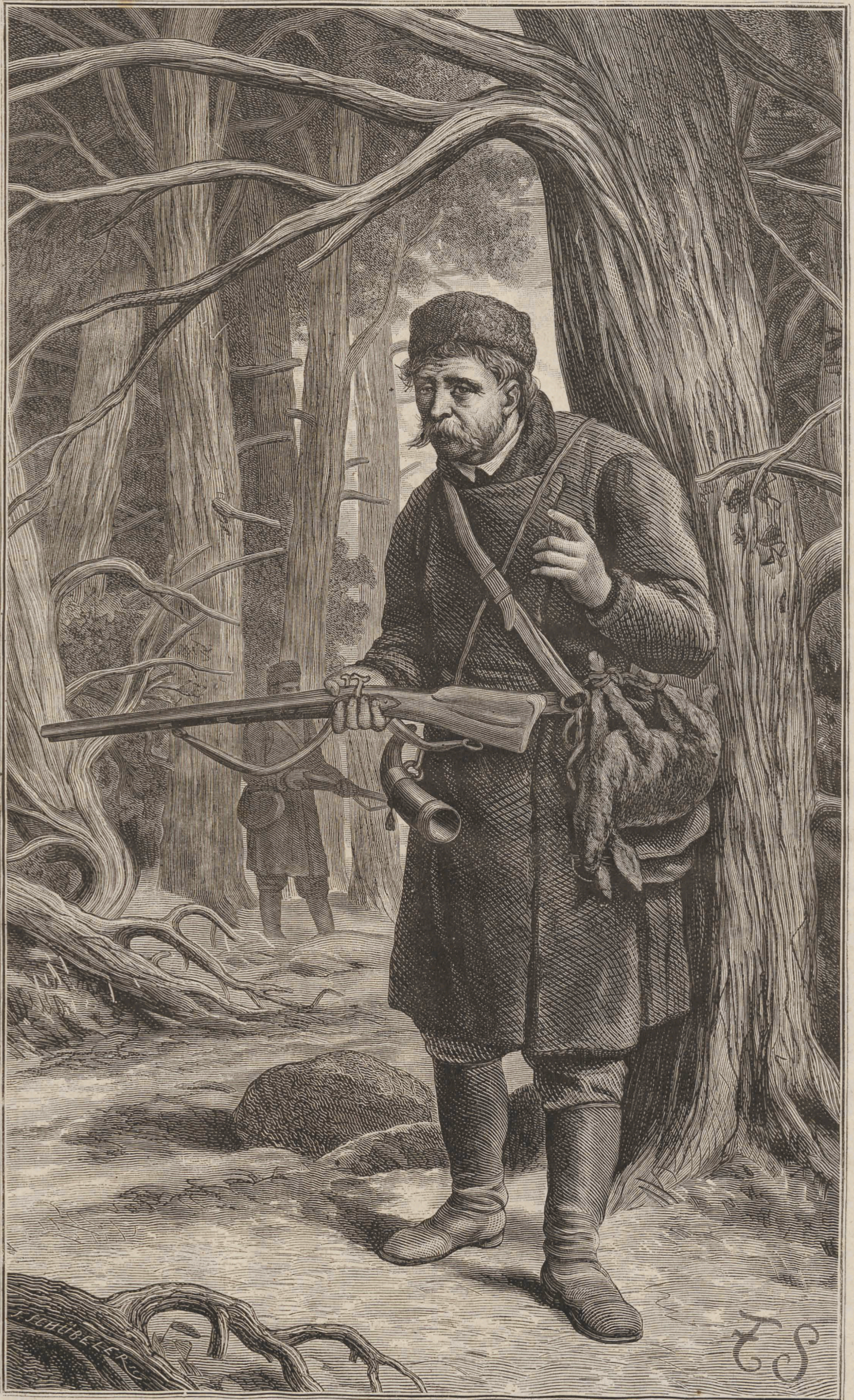
OSTATNIE DEPESE. *Belgrad, 11 października.* Mocarstwa skłoniły nareszcie Portę do zawarcia rozejmu. Rząd serbski zgadza się na rozejm, licząc od d. 12 b. m., na miesiąc jeden, i domaga się ustanowienia linii demarkacyjnej.

Paryż, 11 października. Agencya Havas donosi, że w d. 10 b. m. wielka rada ministrów tureckich uznała, że rozejm sześciotygodniowy, w razie niepowodzenia układów, mógłby być nader dla Turcyi niebezpiecznym. Wskutek tego Porta zgadza się na zawieszenie broni na pięć lub sześć miesięcy i przesła mocarstwom warunki przez nią ułożone.

(Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Times)

KORRESPONDENCA OD REDAKCYI.

Bezimienną korespondentce w Warszawie. Przeglądy teatralne ograniczyliśmy do sztuk oryginalnych i do cenniejszych arcydzieł zagranicznych, stosując się w tym do życzenia nie „panien z pensyi,” ale rozumnych a życzliwych prenumeratorów, od których mnóstwo w tym przedmiocie odebrałszyśmy listów; o mniej doniosłych zaś rzeczach tłumaczonych, w kronice tylko krótkie czynimy wzmianki. Dogodzić wszystkim niepodobna. Co do przeglądów literackich, z pewnością nigdy nie drukowaliśmy ich tyle, co w roku bieżącym, i osobno, i w „Poradniku dla kupujących książki.” O muzyce pisać trudno podczas letniej posuchy; obszernie zaś, wyczerpujące sprawozdania o malarstwie i rzeźbie dajemy od lat kilku dwa razy tylko do roku. W końcu nadmieniamy, że za każdy artykuł, czy to podpisany nazwiskiem znanym, czy bezimienny, odpowiada redakcyja, która w każdym przecie razie więcej umieć musi, od najrezolutniejszej nawet pensyonarki.



Oho! Zagraj prowadził... Rysunek F. Sypniewskiego.



W ogródku chrzestnej matki. Kopia obrazu Firmin Girarda, z wystawy sztuk pięknych w Paryżu. Fototyp L. Krakowa.

Listy z wystawy filadelfijskiej,

Sygurda Wiśniowskiego.

Wystawa krajowa.

(Dalszy ciąg).

Zanim przystąpię do opisu wystawy rosyjskiej, wspomnę że w amerykańskiej sekcji znajduje się o wiele więcej okazów mych kolegów, kolonistów w Ameryce, niż było ich w Wiedniu. W labiryncie jednak tego oddziału odszukałem ich ledwie kilka, tak żywo mnie obchodzących, jak Edwarda Fieckiego galosze, z Waszyngtonu przysłane, Ignacego Szymańskiego z Nowego Orleanu oleje, i Jakuba Janieńskiego z Filadelfii wyborne wodne farby, penzle i inne malarskie przybory.

Wspomniałem że z Warszawy przysłano niewiele okazów należących do działu górniczego. Prócz próbek węgla pp. Majewskiego i Stachelskiego, były to tylko mapy i plany górnicze.

Najpiękniejszy okaz tego rodzaju stanowiła ogromna mapa kopalń rządowych w Dąbrowie, okazująca dokładnie bogactwo mineralne południowej części gubernii piotrkowskiej. Okolicę zawierającą w łonie swém pokłady węglane oznaczono farbą niebieską. Ktokolwiek zna te strony, ten pojmie rozmiary ich pokładów węglowych, gdy wspomnę że sięgają one od Sławkowa do Malinowic w jednym, od Mogiewa do Wojkowiec w drugim kierunku.

Sądząc z mapy, skarb ten podziemny w nielicznych dotąd eksploatują punktach. Bogactwa niezmiernie, ledwie tknięte dziś tu i owdzie, czekają tam energicznej dłoni i przedsiębiorczego umysłu.

Dokoła węglodajnego obszaru grupują się na téjże mapie plany kopalń gliny garncarskiej, galmamu i cynku, tak poszukiwanego w obecnym wieku. Bogactwo całej okolicy w rudy cynkowe zadziwiło mnie wielce. Niemniej uderzyło mnie ciekawe ugrupowanie kopalń cynkowych, dokoła obszaru wyłącznie węglem podłożonego. Plany ich wyglądają na mapie niby placówki, otaczające wielki obóz pokładów węglanych.

Nie wiem dlaczego nie pomieszczono wszystkich planów tyjących się Dąbrowy w jednym miejscu. W kilka godzin po oglądaniu wspomnianej mapy, nad stołem na którym leżą druki rozmaite, znów znalazłem szereg planów i sekcji, tyjących się dąbrowskich kopalń. Wyjaśniają one stosunkową głębokość eksploatowanych żył, tężenie ich przy zagłębianiu się, i grubość wszystkich znanych dotąd pokładów. Obok tych planów wisi rysunek pieca gazowego, nowego pomysłu, bez wyjaśnienia jednak, ażali to jest plan rzeczy istniejącej, czy też nowego, w użycie dotąd niewprowadzonego wynalazku. Gdyby wspomniane tu rysunki i mapa, o której powyżej pisałem, razem umieszczono, stworzyłyby bardzo pouczający i może najlepszy na całej wystawie obraz wielkich kopalń. Amerykanin byłby ugrupował pod nimi próbki ze wszystkich żył i pokładów oznaczonych na mapie, lub nawet jednolite bryły węglane, jako wiarogodne świadki grubości i czystości znakomitszych pokładów. Takimi okazami zdziwiła Ameryka świat cały w pawilonie rządowym; w podobny sposób *New South Wales* w Australii zwróciła uwagę ogólną na nieprzebrane swe podziemne bogactwa.

Mówiąc o płodach górniczych, wspomnę nawiasem, że cała cesarsko-królewska Galicya i Lodomerya przysłała jeden ich okaz, w postaci próbek wosku ziemnego z kopalni p. Doebla, w Borzysławiu, oraz ciekawe daty statystyczne, odnoszące się do ważnej w Galicyi eksploatacji mineralnego wosku. Całą tę wystawę c. k. galicyjską zawarto w małej szafeczce. Zato Wiedeń, co wosku nie produkuje, przysłał trofea ze świec i piramidy z materyi rafinowanej z surowca galicyjskiego. O fakcie tym, tak niepoehlebnym dla mego gniazda rodzinnego, niechętnie wspominam, lecz przemilczęć o nim trudno. Biada mi że nawet za Atlantykiem muszę być kronikarzem do-

wodów niedołęztwa pobratymczych mi przemysłowców galicyjskich!

Na tém kończy się wystawa galicyjska, z wyjątkiem okazu który zaplątał się do wystawy cesarstwa rosyjskiego, gdyż wystawcy przysłali go na ręce konsula amerykańskiego w Warszawie. Jest-to zbiorek wyrobów drewnianych z Rymnowa, w Tatrach, skromny, lecz dowodzący że górale posiadają dużo wrodzonego sprytu do robót z drzewa. Rozwój ich talentu zapomocą szkółek snycerskich, będących dziś na porządku dziennym w Galicyi, i im i krajowi przysporzy korzyści.

Część rysunków z Dąbrowy sąsiaduje, że tak powiem, z wystawą drukarni Józefa Ungra. Przedmioty ją składające zbyt są zapewne znane czytelnikom Tygodnika, bym potrzebował rozpisywać się o nich. Na ścianie wiszą w orzechowych ramach znane im premia, przedstawiające Zadumaną, Śmierć Cezara i Odwiedziny ojca. Pod nimi na stole, pokrytym po większej części rosyjskimi drukami, znajduje się album malarzy polskich i rocznik Tygodnika. O artystycznej wartości albumu pisać nie potrzebuje. Któż jednak poznał je w Ameryce, kto zajrzał pomiędzy jego okładki?

Przykład ten cytuję jako nowy dowód nieradności naszej w obesłaniu filadelfijskiej wystawy. Tak album malarzy polskich, jak album Matejki, które aż do niemieckiej sekcji zabłądziło, nie ustępują najlepszym tego rodzaju okazom zagranicznym. Oprócz wdzięku artystycznego, mają jeszcze zaletę nowości, tak cenną w przesyconym dzisiejszym świecie. Posiadają więc wszystkie warunki rozgłosu i pokupu za granicą, oprócz... reklamy praktykowanej przez Amerykanów.

My jednak chowamy te rzeczy do szaf, zmuszając nawet życzliwych gości do oglądania ich z odległości sześciu kroków, lub kładziemy je na stołach, na pastwę pyłu, bardziej odstręczającego publiczność, niż szyby i kłódki.

Tuż obok Tygodnika leżały skromnie wyglądające książeczki w języku angielskim, zawierające projekt zupełnej reformy notacji muzycznej, proponowany przez dra Jana Karłowicza. Nieznajomość tajników muzyki wzbrania mi wyrokować o tém dziele, choć przyznam, że przejrawszy je, czułem instynktowo, iż dowodzi conajmniej oryginalności myśli w autorze. Niemalże wymagało odwagi uderzenie na kosztowny i zmuorny, lecz tradycją uświęcony obecny system notacji. Pan Karłowicz uczynił to, proponując nowy, pozwalający używania w drukach muzycznych czcionek podobnych do zwykłych książkowych.

Los téj książeczki na wystawie powszechnéj podał nam zabawny dowód, jak trudno nawet w dzisiejszym wieku znaleźć sędziów, chcących i umiejących ocenić rzecz zupełnie nową. Jéj autor, bardziej jednak prezes rosyjskiej komisji, starali się osobiście zwrócić na nią uwagę przysięgłych, sądzących okazy muzyki się tyżące. Cóż kiedy w całym tém gtonie ludzi fachowych nie znalazł się ani jeden, coby śmiał lub chciał się odważyć na gruntowne poznanie metody pana Karłowicza i orzeczenie o niej sądu. Po odjeździe téż autora coraz potężniejsza warstwa kurzu bielila się na tomikach, których nikt krytykować nie chciał. Pomimo tego złodziej jakiś, mędrszy znać od przysięgłych, skradł z nich jeden; na drugim zaś pajak muzyczny się rozgospodarował. Chyba więc we własnym kraju wypadnie szukać osądzenia metody pana Karłowicza. A dziwiłbym się wistocie, gdyby się u nas nie znaleźli ludzie rozsądniejsi i odważniejsi od sędziów filadelfijskich, i nie raczyli stanowczo pochwalić lub potępić tego dziełka.

Na innym stole, niedaleko od druków, znalazłem istne *pot-pourri* tutejszych okazów. Powieszono nad nim ramy, mieszczące wyroby bronzowe p. Münchheimera z Warszawy, jako-to guziki, medale, orły, godła rozmaite i t. p., o których tyle tylko powiedzieć mogę, że kolor i rysunek ozdób w tych świecidełkach przypominał francuzką elegancją, cechującą najmniejszą drobnostkę wodami smaku.

Pod okazami Münchheimera i pyłu powłoką le-

żały noże i sierpy do żniwiarki Warszawianką zwanéj, pewno duplikaty od maszyny spoczywającej w gmachu rolniczym. Dlaczego je w głównym palacu złożono, gdzie przysięgli z grupy maszyn rolniczych pewno odszukać ich nie zdołają, wie tylko ten, co rozumie tajniki wszelkich ludzkich niedołęzności.

Najpowabniejszym okazem na wspomnianym stole była piękna dubeltówka Jachimka i Sosnowskiego z Warszawy. Lufki jéj były paryżkiego pochodzenia, a kolba, jakoteż wszystkie przybory należące do niéj, warszawskiego wyrobu. Prześliczne złote zdobienia luf także w Warszawie wykonano. Na kolbie orzechowej wyrobiono wizerunki *en relief* Batorego i Czarnieckiego. Na rożku od prochu wyrzeźbiono Szkota, strzelającego z konia do ptaka. Szkoda że strzelby téj nie umieszczono pod szkłem, jak wyroby posłane przez tenże dom na wystawę wiedeńską. Ludzie dotykają jéj często spoconemi palcami, pył na nią pada, kupców zaś nie znajdzie w Ameryce, pomimo swéj piękności, bo przy obecnych ciężkich czasach niewiele tam osób może poświęcić 600 rubli, choćby za najcudniejszą dubeltówkę.

Blizko strzelby złożono zbiór nożów, grabek i innych narzędzi, p. Bienkowskiego z Warszawy. Pomiędzy nimi zauważyłem nożyce do strzyż owiec, kształtu nieznanego w Ameryce, a zdaje się praktycznego. Szkoda że nie przedstawiono ich zalet Amerykanom w zwięzłym opisie.

Płótna drutowego do robienia papieru, p. Neumana z Warszawy, znanego i umedalowanego w Wiedniu, ani ja, ani nikt z mych znajomych nie spotkał w Filadelfii. Okaz taki, nagrodzony na poprzednich wystawach, nie mógłby ująć uwagi, gdyby go nie zostawiono w jakim kącie, w kształcie zapyłonego rulonu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POJEDYNEK SZLACHETNYCH.

Komedia w 4 ch aktach,

ORYGINALNIE PROZĄ NAPISANA

przez

Sewera.

(Nagrodzona na tegorocznym konkursie dramatycznym warszawskim).

(Dalszy ciąg).

LIDYA (zamyśla się, staje chwilę, następnie odchodzi niespokojnie, do siebie).

Co powie? Jak mnie przywita?

PEGGY.

Czy tylko ten nietopérsz śpi? (Podchodzi do Pococka.) Ach! brakowałoby tylko żeby się obudził. BULL (wraca; Peggy biegnie do niego; Bull, zbliżając się do Lidyi).

Pani, dzentelmen nie chce wyjść.

LIDYA.

Niepodobna!

PEGGY.

Powiedziałeś mu że panienka czeka?

BULL.

Nie miałem rozkazu.

PEGGY.

No, i patrzcie jaka to głowa, do wszystkiego potrzebuje rozkazu.

BULL (zdejmuje pośpiesznie jedną lampę z czteroramiennego świecznika, podaje ją Peggy).

Światło rozpedzi ci Pococków. Idź i rozmów się sama.

LIDYA.

Idź, moja Peggy, idź!

PEGGY.

Drzę cała. (Odchodzi.)

BULL (pośpiesznie do Lidyi).

Najdroższa panienko, mam sposób...

LIDYA.

Mów!

BULL.

Ukryć więźnia w baszcie parku! Skoro świt, strażę z drogi ściągną. Pocock się nie obudzi tak prędko, a ja wyjadę z powrotem do zamku Brougham i o piątą rano powinienem znaleźć dzentlemana na zakręcie szosy. Zabiorę go i co koń wyskoczy do Londynu!

LIDYA.

Wybornie! dziękuję ci, Bull. (Podaje mu rękę, Bull klęka i całuje podaną.)

BULL.

Czekam przy baszcie. Drzwi będą otwarte.

LIDYA.

Dobrze.

Scena 14.

POPZEDNI I JULIUSZ.

Wchodzi Peggy z lampą, kiwając na Juliusza. Juliusz powoli ukazuje się we drzwiach. Lidya wyciąga ręce ku niemu. Juliusz staje obok drzwi więzienia nieruchomie. Zrażona milczeniem jego, Lidya zatrzymuje się, ręce jej opadają i również stoi milcząca. Bull podkrada się pod drzwi, zamyka je na klucz i z kluczami pośpiesznie się cofa.

PEGGY (idzie na palcach za Bullem i woła pocichu). Bull! Bull! (Bull kiwa na Peggy. Odchodzi.)

Scena 15.

JULIUSZ. LIDYA.

LIDYA.

Patrzysz pan, jak sędzia w chwili czytania wyroku.

JULIUSZ.

Przeciwnie, jak zbrodniarz czekający na wyrok.

LIDYA.

Zbyt pan czarno usiłujesz odmalować swoją pozycję.

JULIUSZ.

Lecz tém sprawiedliwiej. Pani nawet sama zachynasz przychodzić do przekonania...

LIDYA.

Żeś pan zbrodniarzem?

JULIUSZ.

Podzielał zdanie pani. (Zbliża się do Lidyi.)

LIDYA.

Moje?

JULIUSZ.

Przed chwilą wymówione. (Z mocą.) Bo czyż to nie zbrodnia, będąc ubogim człowiekiem, mieć ufność we własną pracę i siłę, wiarę w przyszłość i pokochać również ubogą sierotę, wierzyć jej, mieć odwagę nazywać ją swoją narzeczoną i razem z nią marzyć o przyszłości i cichém szczęściu, o wspólnej pracy w rodzinie?

LIDYA (stanowczo i zimno).

A zatem?

JULIUSZ.

Zwiedziono mnie. Sierota ma opiekunów lordów i księżąt; sama rozporządza milionami i śmiałką, z którego raczono sobie zazartować, wydzierając mu serce, karzą za jego pomyłkę, za jego ślepą wiarę, łapią, krępują powrozami, pakują do więzienia! Pani, ja się dziwić zaczynam, że mi dotąd kajdan nie włożono!

LIDYA (gwaltownie).

Dosyć, dosyć, mój panie! Pokochałeś pan sierotę, a sierota, bojąc się swoich milionów, bojąc się blasku swego imienia, któreby mogło przerazić słabych, odstraszyć ambitnych, postanowiła wyrzec się wszystkiego, aby tylko pójść za głosem swego serca i dotrzymać zobowiązań...

JULIUSZ (tkliwie).

Poświęceń nie żądam.

LIDYA.

To do pana nie należy; zdaje się że mam prawo rozporządzać moimi uczuciami. Chciałam się wyrzec wszystkiego, dla jedynego szczęścia, jakiego może wymagać kobieta: szczęścia miłości i rodziny! Szanowałam szlachetną dumę pańską, kochałam go i mileżałam, obawiając się że gdybyś pan poznał stanowisko téj, którą pokochałeś bez stanowiska i znaczenia, odepchnąłbyś ją.

JULIUSZ.

Lidy!

LIDYA.

A więc Lidya Brougham zmazuje firmę swego nazwiska, wszystko co jest do niego przywiązane i staje sama wobec tego, którego pokochała, dumna że on ceni tylko ją samą, dla jej wewnętrznej wartości.

JULIUSZ.

I byłbym najszcześliwszym...

LIDYA.

Gdybyś się pan nie dowiedział o mojem, jak je nazywasz, poświęceniu. Moje poświęcenie odsuwa cię odemnie. Uciekasz, porzucasz mnie, jak osobę godną pogardy! Jakże nią nie gardzić, gdy imię jej, niestety, zapisane jest na kartach historii? Jakże nią nie gardzić, gdy fatalizm narzucił jej miliony? A mimo to miała ona odwagę... Nie, nie — ona była tylko tyle szczęśliwą, że poznała szlachetnego człowieka — i tyle biedną, że go pokochała! Więc zdeptać ją za to i odepchnąć!

JULIUSZ.

O nie, pani! Ja nie odpycham i nie zdradzam.

LIDYA (z gorzycą).

Odechodisz pan tylko sam, podobno ze złamaném sercem! O tak... jak samolub! Egoizm nie pozwala ci na chwilę pomyśleć, że niedawno, bo dziś jeszcze, nie należałeś do siebie, że odchodząc sam ze swoją ambicją, zostawiasz kogoś, komu przysięgałeś miłość, opiekę, a więc że zaciągnąłś zobowiązanie...

JULIUSZ.

Pani oskarżasz mnie?

LIDYA.

Nie ja: moi opiekunowie występują w mój obronie.

JULIUSZ.

I więżą mnie?

LIDYA.

Pragną zemścić się za upokorzenie wyrządzone przybranej córce i ich rodowi.

JULIUSZ.

Zemścić się?

LIDYA.

Przecież słyszeli wypowiedziane pańskie przekonania. Lecz nie mówmy o tém, jesteś pan wolnym! (Daje Juliuszowi znak ręką, że wyjść może.)

JULIUSZ (cicho, z uczuciem).

A więc żegnam cię, pani!

LIDYA.

Juliuszu! (Wyciąga rękę.)

JULIUSZ.

Lidy! (Lidya przybiega, tuląc głowę do piersi Juliusza.)

POCOCK (przez sen).

Broughamy, Burghleye... (Juliusz i Lidya nasłuchują.)

LIDYA.

Śpieszmy się! I czy sądzisz że cię Lidya porzuci, że cię zapomni, jeżeli sam jej nie odepchniesz? „Cóż mi świat cały bez twego spojrzienia?”

JULIUSZ.

I cóż mi po życiu bez ciebie?

POCOCK (przez sen).

Sześciu — sześciu z kolei Pococków — królowa — do fosy z nim!

LIDYA (pokazując na śpiącego).

Uciekajmy! wyprowadzę cię do baszty. Ostrożnie, park otoczony; należy przeczekać do dnia. (Lidya chwytając za rękę Juliusza i wychodzi naprzód, Juliusz za nią na prawo.)

Zmiana dekoracji. Scena przedstawia park. Księżyc świeci; z boku baszta, na wierzchu baszty Juliusz i Lidya. Od strony baszty przez scenę przebiega Bull z kluczami, ciągnąc opierającą się Peggy za rękę.

Scena 16.

PEGGY.

Bull, ty nie masz Boga w sercu! (Znikają. Z lewej strony przez scenę przebiega służba z pochodnią, za sceną głosy lorda i Northa.)

LORD (za sceną).

Otoczyć basztę! podchodzić ostrożnie!

NORTH.

Siana! siano rozesłać wokoło muru! W razie gdyby chcieli wyskoczyć...

JULIUSZ (na baszcie).

Jesteśmy zdradzeni, otaczają nas.

LIDYA.

Będziemy się bronili. Byle do dnia wytrwać. (Wchodzi z prawej strony widzów lord i North. Trotter, za nim służba.)

LORD (do Trottera).

Baszta za godzinę musi być zdobytą koniecznie, choćby szturmem!

TROTTER.

Mam nadzieję, mój lordzie, że się tak stanie.

NORTH.

Musi być zdobytą, gdyż w przeciwnym razie wigi tryumfować będą.

LORD.

Do dzieła więc!

NORTH.

Zaczekajcie — przedewszystkiém w staréj Anglii parlamentaryzm: należy ich wezwać do poddania się.

LORD.

Wzywaj w mojem imieniu.

NORTH (podchodzi pod basztę, silnym głosem).

W imieniu lorda Harvey wzywam obleżonych w baszcie, aby się zdali na łaskę i niełaskę. W przeciwnym razie szturm natychmiast przypuszczonym będzie.

LIDYA.

Raczej śmierć! Panowie oblegający powinni wiedzieć, że Broughamy i Stanleje nie zdają się na łaskę.

NORTH.

Słyszałeś James? i... Stanleje!

LORD.

Ma rację.

NORTH.

Wzywam po raz drugi i trzeci.

JULIUSZ.

Uprzedzam, że ktokolwiek ośmieli się zbliżyć pod mur, kamieniem głowę mu roztrzaskam. (Juliusz wydobywa kamienie z rumowisk staréj baszty, ustawiając je na murze.)

LORD.

Naprzód! (Lidya i Juliusz zrzucają kamienie.)

NORTH.

Do zbrojowni po stare tarcze i szyszaki! Pod ich zasłoną dostać się do drzwi! James, jak to uważasz?

LORD.

Wybornie! (Do służby.) Ruszać po tarcze! (Trotter daje rozkazy, kilku ze służby wybiega.)

NORTH.

Niéma Kidda. Niéma komu notować.

LORD.

Gdzie klucze od drzwi baszty?

TROTTER.

Zabrano je Pocockowi.

NORTH.

Toporami bramę rozbić.

JULIUSZ.

Jeżeli o mnie tylko idzie, to pozwól, ja zejść.

LIDYA.

Teraz już o nas idzie, o nasz honor, o nasze prawa, o naszą przyszłość. Dotrwać do dnia, lub raczej umrzeć. Gdy zaświta, znajdziemy pomoc przechodniów i prawa.

JULIUSZ.

A więc brońmy się! (Zaczyna pracować nad obrywaniem kamieni z baszty. Wbiega kilku służby z tarczami i toporami w rękach i szyszakami na głowach.)

NORTH.

Z tarcz dach sformować, wrota wyrąbać. (Uzbrojona służba przechodzi przez scenę do drzwi baszty, znajdujących się za sceną.)

JULIUSZ.

Kamieni starczy. (Lidya staje przy nim.)

LORD.

Śmiało a prędko! (Słychać rąbanie drzwi i uderzenie kamieni o turcze.)

JULIUSZ (zmęczony).

Napróżno, kamienie po tarczach staczają się, jak grad po żelaznym dachu. Słyszysz? drzwi trzeszczą, chwieją się!

NORTH.

Śmiało! śmiało!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Miasto Przedborz.

W N. 565 „Kłosów“ z r. b. czytaliśmy krótki opis miasta Przedborza i oglądaliśmy drzeworyt przedstawiający mający to miasto. Zdaje się jednak, iż zajęcie tu musiało jakaś pomyłka, mieszkańcy bowiem Przedborza i jego okolic, zobaczywszy rycinę, przedstawiającą kilka walących się chałup

i jakąś krzywą basztę niby kościelną, jednoznacznie oświadczyli, że nie poznają w niej swego grodu.

Mając fotografią Przedborza, uważam sobie za obowiązek przedstawić czytelnikom Tygodnika Ilustrowanego autentyczną jego rycinę, wraz z krótkim rysem dziejowym.

Miasto Przedbórz, mające 6,000 głów stałej ludności i około 400 domów mieszkalnych, leży

w gubernii radomskiej, powiecie końskim (nie opoczyńskim, jak podały „Kłosy“), pośrodku dziś jeszcze dosyć rozległych, choć opustoszałych borów, od których otrzymało swoje nazwisko.

Jeszcze Kazimierz W., zjeżdżając na łowy w leśne strony Przedborza, aż do roku 1370 w wybudowanym przez siebie zamku kilkakrotnie tu przebywał. W roku 1405 całe miasto zniszczone zostało przez pożar. Władysław Jagiello, będąc na-



Widok ogólny miasta Przedborza.

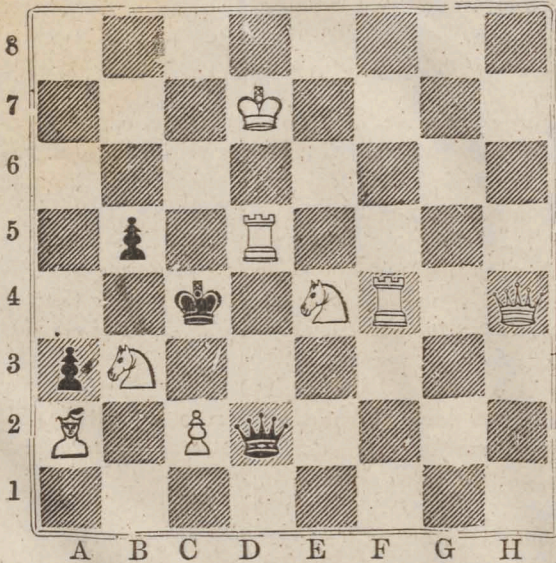
258

SZACHY.

ZADANIE XXXVII.

Białe zaczynają i dają mata za 2 posunięciami.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego nr. 36.

Białe.

Czarne.

- | | |
|-------------------|--------------------|
| 1) E7—D5 biorą | 1) H2—H1 (królowa) |
| 2) E5—E3 † | 2) D3—D4. [(a, b). |
| 3) B2—D2 † | 3) D4—C5. |
| 4) G5—E4 † i mat. | |
- (a) 1) A5—B6.
2) E5—E4 2) B6—D4.
3) D5—B4 biorą 3) D3—C3.

- 4) B2—C2 † i mat. (b) 1) D3—D4.
2) E5—E6 2) D7—E6 biorą.
3) B2—D2 3) D4—E5 lub C5.
4) G5—F7 lub E6 † i mat.

NAKŁAD JÓZEFA UNGRA.

DZIEŁA Karola Szajnochy.

TOM IV.

SZKICE HISTORYCZNE (dokończenie),
LECHICKI POZĄTEK POLSKI, JADWIGA I JAGIEŁŁO,

w tych dniach opuścił prasę drukarską.

WARUNKI PRENUMERATY:

Dla prenumeratorów Tygodnika ilustrowanego.
w Warszawie za tom rs. 1 kop. —
w cesarstwie i na prowincyi 1 „ 10.
Dla nieprenumeratorów Tygodnika ilustrowanego.
w Warszawie za tom rs. 2 kop. —
w cesarstwie i na prowincyi 2 „ 10.

Oprawa ozdobna jednego tomu na sposób zagraniczny w płótno angielskie z wyciskami i złoceniami na grzbiecie.

w Warszawie kop. 40.
w Cesarstwie i na prowincyi „ 50.

Uwaga. Prenumerata na dzieła Karola Szajnochy w cesarstwie i na prowincyi przyjmuje się najmnieżej na 2 tomy.

Adres: Józef Unger, Nowolipki, nr 2406 (nowy 3)

REBUS.

259



Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 41.

Ryzyko losowi dowierza, choć prowadzi do ruiny.

ówczas w Przedborzu, znacznie rozprzestrzenił istniejący tu zamek, nadał rozmaite przywileje mieszczanom i pozwolił rządzić się prawem magdeburskiem. Ostatni z Jagiellonów, Zygmunt August, także nie zapomniał o Przedborzu i uwalniał mieszczan od rozmaitych podatków i danin. Znana jednak nietolerancja religijna Zygmunta Wazy przywiodła kwitnące dotąd miasto do upadku. Król ten zabronił Żydom nabywać domy w Przedborzu i ograniczył ich w prawach służących chrześcianom.

W 1638 roku, gdy miasto zupełnie po raz drugi się spaliło, Władysław IV, nie chcąc dopuścić zupełnego upadku Przedborza, zniósł zakaz ojcowski dotyczący się Żydów i nadał wszystkim mieszczanom, bez różnicy wyznania, jednakowe prawa.

Nakoniec, gdy Szwedzi za Jana Kazimierza po raz trzeci spalili Przedbórz, miasto ciągle już od tąd chyliło się do upadku. Uszkodzony w czasie pożaru zamek i niereparowany aż do roku 1660, poszedł w ruinę, i dziś jeszcze tylko gdzieś widać kilkołokciowej grubości kawały zamkowych murów i liczne lochy i piwnice.

Przedborski kościół parafialny, fundacji Kazimierza W., aż do roku 1834 stał nienaruszony. W tym roku czwarty pożar zniszczył całe miasto. Kościół zgorzał zupełnie; frontowa tylko olbrzymia baszta, z galerją dla muzyki kościelnej, ocalała i długo jeszcze ponad domami miejskimi górować będzie. Kościół sam kosztem rządu odbudowano i dwie kaplice po bokach mu dodano. Kościółek św. Leonarda, za miastem stojący, dziś opustoszały, także bardzo dawne pamięta czasy, których zabytkiem są również nazwy kilku miejscowości, jak np. *Podzamecze* i *Winnica*.

Przez sam środek Przedborza przepływa rzeka Pilica i dzieli miasto na dwie części, Przedbórz i Widomą. Most, łączący ze sobą te dwie części miasta, stanowił niegdyś własność wszechwładcy Jagiellońskiego w Krakowie i dopiero w końcu zeszłego stulecia przez Piotra Małachowskiego, ostatniego wojewodę krakowskiego i starostę przedborskiego, nabyty od niej został. Długi czas istniejące starostwo przedborskie przeszło po nim na własność rządu, a rezydencja starostów, Wola przedborska, jest dziś posiadłością prywatną.

Przedmieścia Widoma, Chałupki, Kępa, Wola przedborska, Pohulanka i Cegielnia z trzech stron otaczają miasto.

Od lat kilku Przedbórz znakomicie się wznosi, domy nowe przybywają, ludność się powiększa, a przemysł nanowo zakwita. Fabryki pończoch, łyżek, wapna i cegły do dalszych nawet miejscowości swój towar rozsyłają; Pilicą zaś i koleją żelazną z Gorkowie prowadzimy budulec do Warszawy i dalej nawet.

Fabryki kortów i płótna, o których p. R. w „Kłosach“ wspomina, od lat blisko 20-tu nie istnieją. W projekcie zato jest założenie w pozostałych po nich gmachach cukrowni.

Zalążający się widok, przerysowany z fotografii zdjętej z miejscowości zwaną Majową górą, da czytelnikom Tygodnika rzetelne pojęcie, jakim jest obecnie stan Przedborza.

Maryan K.

SZEWCKIE DZIECKO,

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

(Dalszy ciąg.)

Z moralistów któryś doradza ludziom na mieszkanie domy szklane. Rady tej zdaje się brać nie należy w znaczeniu ścisłe literalnym. Moraliscie owemu chodzi zapewne nie o podniesienie fabrykacji szkła, lecz o taką konduity ludzkiej jawność, ażeby człowiek każdy pozwalał rozpatrywać się we wszystkich najdrobniejszych szczegółach życia, tak publicznego, jak prywatnego, najprywatniejszego. Zaprawdę, takby być powinno,

Unormowanie podobne moralności przyniosłoby korzyści ogromne, pomimo że głos powszechny bardzo stanowczo przeciwko niemu się oświadcza, twierdząc że życie prywatne stanowi pewnego rodzaju *sanctuarium*, do którego zaglądać niewolno. Zachodzi atoli trudność jedna, zależąca na określeniu życia prywatnego i, co za tym idzie, na odgrózeniu onego od publicznego. Linia demarkacyjna pomiędzy jednym a drugim tak jest niepewna, że niewiadomo jak ją nakreślić. Życie prywatne—cóż to jest? Nie jest-że to pole działalności rodziny, będącej jądrem ustroju społecznego? Z rodziny wysnuwa się i rozwija ogół. Okrywać ją tajemnicą, byłoby to coś podobnego, jak naprzykład zatykać źródłisko rzeki. Utajemniczenie jej przeto należy do rodzaju owych niemożliwości, pożądaných dla powodów pewnych, lecz w urzeczywistnieniu napotykających przeszkody w samej naturze rzeczy.

Uważaliśmy za potrzebne powiedzieć kilka słów powyższych, zabiierając się do wejścia w życie prywatne człowieka bardzo zacnego.

W życiu pana Krzysztofa znajdowała się strona ciemna. Była nią...

Zacniemy jednak rzecz *ab ovo*. Na tym zyskują jasność i porządek. Pan Krzysztof, w chwili gdy o nazwisku jego dowiedział się nasz bohater, liczył lat czterdzieści kilka, był obywatel, ojcem i małżonkiem, zaczynając od tego, od czego zaczyna prawie każdy, komu się po rodzicach znaczny dostaje spadek: od założenia ogniska domowego. Rodzice odumarli go małoletniego, mającego lat nie więcej jak siedemnaście, a jednak szkoły skończył. Było-to rzeczą nadzwyczajną. Na heroizm podobny nie zdobyłby się nikt prawie z posiadających fortunę, przynoszącą dochodu rocznego kilkanaście tysięcy rubli. Pan Krzysztof pozostał w szkołach z popędu własnego, skończył gimnazyum, wstąpił do uniwersytetu, skończył uniwersytet i udał się za granicę, w celu z bogacenia wiedzy i uporządkowania ostatecznego nabytków, jakie się w głowie jego nagromadziły. Skończył nauki i uczył się, dzięki dziwactwu pewnemu, które mu w duszę zapadło, a które polegało na tym przekonaniu, że im kto więcej ma w szkatule, tym więcej posiadać powinien w głowie, czyli że fortuna nie jest celem, ale środkiem, środkiem mającym za zadanie — czy to we względzie zbiorowości ludzkiej, czy też we względzie indywidualnym — doskonalenie człowieka. Dziwactwo to, idąc z konsekwencyi do konsekwencyi, do tej doprowadziło go konkluzji, że miarą doskonałości ludzkiej jest pożytek, jaki człowiek pojedynczy ogółowi przynosi. To pełnęło go pomiędzy ludzi, w towarzystwo. Żył, bywał i bywając, spotkał tę, której, jak przysłówie ludowe powiada „koniem nie objeździesz.“

Hrabianka Ewelina Przesielska pojawiła się mu tak, jakby przed poetą stanął nagle ideał jego, w snach wieszczych wymarzony.

Na widok jej nasz pan Krzysztof uczuł w sercu swoim kołatanie niespokojne i powiedział sobie:

— To ona...

Powiedział tak sobie na wiarę pozor, czyniącego z panny Eweliny istną rozkosz oczów. Wyobraźmy sobie piękność skończoną, ubraną w ciało okryte tualetą gustowną i zapytajmy siebie, stawiając się na miejscu pana Krzysztofa: czybyśmy nie powiedzieli tego samego? Oczy czarne, duże, warkocze krucze, rysy oblicza klasyczne, kształty ciała rozkoszne, wzrost odpowiedni, powaga, coś niby świętego i nieświętego, było od niej urokiem, któremu uległ dziedzic Orchowic i postarał się zbliżyć do czarodziejki, zamieszkałej w stolicy, w owym domu, w którym Onufry Trznadel, będąc jeszcze ulicznikiem tylko, miał legowisko swoje. Zbliżył się do niej i odkrył dla siebie świat zaokrąglały i dopełniający ten, w którym żył dotychczas. Rozrywki, nauki, zajęcia gospodarskie, obowiązki obywatelskie przedstawiły się mu w nowym blasku, odbijającym od postaci dziewiczej.

— A—pomyślał sobie — miłość nie jest uludą. Kocham...

Pokochał. Pokochał jak młodzik, pomimo lat

trzydziestu skończonych i pomimo studyów filozoficznych, zapomocą których serce rozpatrywał i ważył. Nie dowodził się snadź swego własnego, pomimo że przystępując do panny Eweliny, prawił sam sobie morały jaknajsurowsze, ściągające się do jednego punktu ogniskowego, w którym zestrzelił całe usiłowanie, ażeby, broń Boże, nie zaślepić się. Cały rozum na to wyteżał. W tym celu powściągał się długo z wyznaniem swych zapalców. Wystawiał na próby siebie i ją, znalazł w końcu pannę Ewelinę doskonałością bez plamki najmniejszej i wyznał jej miłość w ogrodzie, chodząc około tego samego basenu, przy którym, w lat kilka później, widział ich Onufry Trznadel. Wyznania tego jednak nie słyszał wtedy nikt. Nastąpiło ono w porze roku wiosennej, kiedy róże i jaśminy zapachem ogród napelniały, fontanna szemrała, listki drzew szumiały, księżyc świecił, a rozmowa jaka się toczyła najmniejszego z afektami miłosnymi związku nie miała. Chodziło o określenie stanowiska człowieka pojedynczego w społeczeństwie. Hrabianka powiadała, że w społeczeństwie odbywa się ruch ten sam, co w naturze, przedstawiającej się pod postacią maszyny olbrzymiej, o milionach kółek, z których każde pełni funkcję swoją, stosownie do prawa ogólnego.

— Człowiek każdy—były słowa jej—jest kółkiem posiadającym świadomość zadania własnego, mogącym przeto być albo szkodliwym, albo bezużytecznym, stosownie do tego, jak kto własną pojmuje korzyść.

— Jakież gatunek ludzi ma pani za szkodliwy?

— Samolubów, wychodzących z tego punktu, że świat dla nich istnieje.

— Dlaczegoż są oni szkodliwi?

— Dlatego... zdaje mi się... odpowiedziała hrabianka, uderzając sobie wachlarzem po dłoń— że zagarniając dla siebie część największą, przeskadzają regularnemu krążeniu soków żywotnych, psują więc harmonię społeczną.

— Zkąd to pani wzięła? — zapytał pan Krzysztof.

— Znikąd... tak mi się zdaje. Możem się źle wysłowić.

— Przeciwnie—podchwycił pan Krzysztof.— Powiedziałaś pani prawdę wielką, bardzo wielką.

— Niechcący—odrzekła panna.

— Pani mnie zachwycasz.

Głos pana Krzysztofa był podniesiony nieco.

— Słowa te wysnuły mi się same.

— Z przekonania?

— Zdaje się.

— Pani!—zawołał pan Krzysztof w uniesieniu. Kocham panią!

— I rzucasz mi pan wyraz ten tak bez ceremonii?

— Ja go nie rzucam. Ja tłumaczę nim uczucie, przepelniające mi serce i czynię z niego wstęp do zaoferowania pani ręki mojej — odparł pan Krzysztof, ujmując pannę Ewelinę za dłoń.— Chcesz mnie pani uszczęśliwić?

— Panie Krzysztofie!... — odrzekła hrabianka, tonem wzruszenia pełnym.

— Kochasz mnie?

— Kocham.

Róże i jaśminy woniały, fontanna szumiała, listki szemrały — zapach kwiatów, szum wody, szmer listków zływały się z wyrazem „kocham“ w całość harmonijną, którą muzyką rajską odezwiała się w duszy pana Krzysztofa. Zagrały dla niego ziemia i niebo. Zabrzmiały dokoła tony jakiegoś cudne, ciche, uroczyste, w których się on jestestwem swoim całym rozplęwał, roztopiał. Podniósł dłonie i oczy sobie zasłonił. Porządek nakazywał przykleknąć na kolano jedno. Nie uczynił tego. Oczy sobie dłońmi zasłonił, jakby się chciał całym sobą ześrodkować w słuchu i upajać jaknajdłużej tym podzwonnem, które się po wyrazie „kocham“ wlokło, ginęło w dali i znów wracało, napawając go rozkoszą niewysłowioną.

Panna Ewelina kaszlnęła.

Czar muzyki pękł, wnet jednak przeszedł w stan wspomnienia, wspomnienia drogiego, za które czuje się wdzięczność bezgraniczną. Pan Krzysztof pochwyił hrabiankę za rękę i złożył na niej pocałunek długi, gorący.

— Ach, pani! pani!—wołał.

Panna Ewelina pociśnięła lekko dłonią dłoń pana Krzysztofa.

— Będziesz moja?

— Nie wiem—odrzekła pocichu.

— Kochasz mnie?

— Kocham—szepnęła.

— Będziesz więc moja!

— Nie wiem.

— Jakto? — zapytał porywcz.

— To zależy od papy i mamy... czy oni zezwolą. Z mojej strony...

— Ach!—przerwał pan Krzysztof, rękę podnosząc z zacięciem takim, jakby groził komuś, lub kogoś wyzywał.—Czy zezwola? Pójdźmy ich zapytać!

Ujął kochankę za drobną rączkę i pociągnął ją prawie za sobą, idąc sam przodem pośpiesznie i z oznakami wyraźnej niecierpliwości. Prędko przeszli przez ogród, szybko po kamiennych schodach wbiegli na balkon, zastawiony po bokach krzewami egzotycznymi w donicach i wkroczyli do salonu gustownie urządzonego, w którym znajdowało się osób kilka.

— Panie! panie! panie Krzysztofie! — szeptała hrabianka tonem prośby, starając się rączkę swoją z dłoni jego wyswobodzić.

On jednak nie słuchał, nie zważał, doprowadził pannę Ewelinę do punktu, który był ogniskiem półkola, sformowanego przez osoby na krzesłach i fotelach siedzące i rozmową się zabawiające, w punkcie tym stanął i, zwracając się w stronę jedną ku podżytemu jegomości, następnie w drugą ku niemiłej damie, w następujące odezwał się słowa:

— Panie hrabio, pani hrabino, chodzi tu o zezwolenie wasze. Przed chwilą panna Ewelina i ja wyznaliśmy sobie wzajemnie, że się kochamy.

Wyraz ostatni sprawił wśród obecnych ruch jakiś osobliwy. Hrabia mocno chrząkać począł, wstał i ręce w kieszenie wsunął, zwracając się frontem do pana Krzysztofa. Hrabina oczy spuściła. Panowie i damy zamieniali ze sobą spojrzenia i uśmiechy, ściskali ramionami i wstrząsali głowami.

— Wyznaliśmy sobie że się kochamy—powtórzył pan Krzysztof dobitnie—i...

— Bądź co bądź—podechwycił hrabia—jest to wyznanie oryginalne.

Pan Krzysztof spojrzął na ojca hrabianki wzrokiem, w którym malowało się zdziwienie. Ten ciągnął dalej:

— Suponuje, że się pan o rękę córki mojej oświadcza.

— Nicnaczej!—wtracił pan Orchowski.

— Przeciwno oświadczyłam nie mam nic. Upoważniają pana do nich położenie towarzyskie, majątkowe i rodowe; tylko że położenie to nie upoważnia pana do gwałcenia form pewnych konwencyonalnych, które się praktykują w sprawach tego rodzaju...

— Kochamy się!... odparł pan Krzysztof.

— Panie, tego się nie powiada!—odrzekł hrabia z przyciskiem. Dobrze że w chwili tej zgromadziło się u nas tylko grono przyjaciół domu, inaczej powiedzenie pańskie skompromitowałoby pannę... córkę naszą.

Pan Krzysztof nie odpowiedział na to nic, znalazł się bowiem w położeniu, które mu szyki pomieszało. Hrabianka wyrwała z dłoni jego rękę i schroniła się pod opiekę matki; obecni gestami potakiwali słowom hrabiego; pan Krzysztof przeto został niejako wystawiony na sztych i poznał iż popełnił niewłaściwość, ba nawet niedorzeczność, której potęgować nie chciał. Poznał że zgwałcił formy towarzyskie. Z drugiej atoli strony czuł się niejako w prawie swoim do ręki tej, którą ukochał i która mu wzajemną była. Uderzył się więc dłonią w czoło i zawołał:

— A! głupstwo!

Rzucił wyraz i wybiegł.

Wyraz ten stał się zagadką sfinksa, którą goście hrabiego nadaremnie rozwiązać usiłowali, tworząc domysły rozmaite i zgadzając się w jednym punkcie, mianowicie w tym, że pan Krzysztof jest oryginalnym,

dziwakiem, ekscentrykiem, w gruncie jednak niezłym człowiekiem, posiadającym zajęczka w głowie i majątek niezadłużony, niosący dochodu czystego złotych, jak jedni twierdzili—sto pięćdziesiąt—jak drudzy utrzymywali—sto tysięcy.

— Tak czy owak, sto czy sto pięćdziesiąt tysięcy—powiadał jeden—zawsze to fortunka, która w dobrych rękach ma swoje znaczenie.

— Ale w rękę takiego jak pan Krzysztof—podechwycił ktoś.

— Ludzie jemu podobni są do prowadzenia najłatwiejsi—odewał się najstateczniejszy w kompanii.—Chodzi tylko o to, ażeby im umieć zaimponować. Na mężów materyał to doskonały.

Przypuszczać się godzi, że słowa te, wyrzeczone pod adresem panny i jej rodziców, wyrzeczone były przez życzliwego przyjaciela domu. Przypuszczać się niemniej godzi, iż nie padły one na opokę, niepóźniej bowiem jak nazajutrz hrabia oddał dziwakowi wizytę i niedorzeczność naprawiła się. Wkrótce potem odbyły się formalne zaręczyny. Na zaręczynach pan Krzysztof przybył ze wspaniałym, brylantami obsypanym naszyjnikiem, który przyszył swojej wręcz. Naszyjnik wzbudził admiraacją powszechną. Ceniono go na kilkanaście tysięcy talarów i wrócono z niego świetną dla panny młodą przyszłość.

— Szaleje dla niej—szepnął hrabiemu przyjaciel domu do ucha.—Tęgo Iwa hrabianka będzie mogła na nitce prowadzić. Naszyjnik jest szczęścia jej małżeńskiego zadatkiem. Uglaska ona dziwaka.

Cieszył się ojciec, cieszyła się matka, cieszyła się panna.

Po zaręczynach nastąpił ślub, po ślubie przynosiny do Orchowic.

Pan Krzysztof został najszczęśliwszym małżonkiem. Szczęście jego atoli trwało niedługo. Upojenie pierwotne przemienilo bardzo prędko, przedzień aniżeli spodziewać się można było—w tydzień. Rozczarowanie zaczęło się od tego, że młody małżonek zapytał siebie:

— Co to jest?

Zapytanie to odnosiło się do pani Eweliny, która zmieniła się tak dalece, że się zdawało, jakby to była nie ta sama kobieta, co takie piękne wygłaszała zasady. W bajkach niektórych odgrywa rolę główną czarownica, podstawiająca królewiczowi zamiast kochanki, córkę własną. O ile tamta jest piękna i enót pełną, o tyle ta odznacza się brzydotą i przywarami. Pani Ewelina nie zmieniła się pod względem piękności; co się jednak enót tyczy, takowe znikły nagle. Mówi się tu o enotach nie tych formalnych, pospolicie praktykowanych. Te utrzymały się na owęj stopie konwencyonalnej, która enotliwość czyni łatwą, dogodną i przyjemną, zmieniając ją w pewien rodzaj kąpieli w letniej wodzie, branę w wannie, w której nie sposób ani pływać, ani się utopić. Pani Orchowska była enotliwą, bardzo nawet enotliwą, nie tak jednak, jak pan Krzysztof enotę sobie wyobrażał. On chciał naturalną, czynną, zastosowaną do wymagań i potrzeb społecznych; pani zaś zrobiła z niej ozdobę sztuczną, bierną, służącą na użytek jej wyłączny, nacechowaną tym egoizmem, który jest następstwem rozmiłowania się w sobie i uważania siebie za istotę wybraną. Pokazało się to odrazu, przy pierwszym wstąpieniu w progi dworu orchowieckiego, a raczej przy pierwszym obiedzie, do którego zasiadła nie jako gospodyni domu, ale jako gość jeszcze. Zastała przy stole osób z piętnaście. Zrazu była jakby odurzona; rozpatrując się jednak, rozpoznała gatunek ludzi, do jakiego spółbiedniacy jej należeli. Byli to, o zgrozo! oficyaliści, urzędnicy prywatni, należący do zawodów fabrycznego, rolniczego i rzemieślniczego—ten mechanik, tamten maszynista, inny zaś ślusarz czy kowal. Majątek obejmował przemysł fabryczny i rolny i spotrzebowywał ilość znaczną specjalistów, dorabiających się stanowiska w świecie, po większej części ludzi młodych, którzy gospodarstw własnych zakładać nie mogąc, pobierali pensje i stołowali się we dworze. Było to dogodni dla nich, i dla pana Krzysztofa, który w ten sposób miał ich ustawicznie na oku

i pod ręką. Wpływało to na moralność w konduicie, na pilność w robocie i na kształcenie umysłów. Przy obiadach i wieczorach temu i owemu wpadała w ucho, a przez ucho dostawała się do głowy, wiadomość niejedna pożyteczna; potrzeba prezentowania się panu dwa razy codziennie zmuszała do przyzwoitości, mianowicie do powściągliwości we względzie kieliszka, tego w klasie pracującej źródła wszelakiego złego, tej głównej, co się niemoralności tyczy, podniety. Zaprowadzenie zwyczaju wspólnego stołu zadowolało pana Krzysztofa wielce. Przypuszczał, a raczej pewnym był tego, że zadowoli i panią Ewelinę, że się jej spodoba rola, jaką dla niej wyznaczył, polegając na tem, że pełnić miała funkcję podobną nieco do tej, którą pełni pierwiastek niewieści w zakładach naukowych amerykańskich, to znaczy że miała moralność potęgować, przyzwoitości akcent nadawać i do rozwoju umysłowego za pobudkę żywą posłużyć. Spodziewał się po niej tego, sądząc po tem, co z ust jej słyszał, gdy panną była. Dla zrobienia jej przyjemności, wszczął przypierwszym obiedzie rozmowę, która, jak mu się zdawało, zainteresowała ją była powinna: zagaił rzecz o wysokości znaczeniu pracy ludzkiej. Rozmowa potoczyła się raźnie i przetworzyła w dyskusję pomiędzy panem Krzysztofem a ślusarzem, który utrzymywał, że jeżeli pracuje, to dlatego że musi, bo inaczejby z głodu umarł, wołałby jednak mieć pieniądze i nie nie robić. Dyskusja stała się wielce zajmującą. Ślusarz o ekonomii politycznej wyobrażenia nie miał, w zarzutach więc jakie czynił, trzeba było stosować się do pojęć jego.

— Ej, panie—powiadał na przykład—daj mi pan jeno Orchowice, a już ja tam wiedziałbym, co z moją pracą zrobić!

— Potrafiłbyś zarządzić majątkiem? — zapytał pan Krzysztof.

— Czemu nie! Czy to sztuka taka wielka?

— Fabryki, rolnictwo...

— Najprzód, co się tego tyczy—odparł ślusarz sentencyonalnie—nie brałbym na głowę takiego jak fabryki kłopotu. Prowadziłbym sobie gospodarstwo po staremu, ot nie przymierzając, jak pan Zdziarnowski z Kochanówki, który przecie nie nie robi.

Trudno było ze ślusarzem do końca trafić i dlatego właśnie dyskusja gorąca i zajmująca była, ale nie dla młodej pani. Ta obiadowi całemu asystowała, niby posąg z marmuru, wyrażający odurzenie i oburzenie, połączone z niesmakiem, którego ukrywać nie usiłowała. Po obiedzie do pokoju swego odeszła. Pan Krzysztof chciał ją po zakładach, po gospodarstwie oprowadzić. Wymówiła się bólem głowy. Do wieczery nie wyszła. Nazajutrz przy obiedzie także jej nie było, nie było i przy wieczery.

— Czyś chora, Ewelino?

— Nie—była jej odpowiedź, krótka, sucha i zimna.

— Cóż to jest?

— Nic...

Na pytanie to ostatnie dała odpowiedź w tydzień dopiero, zaczynając ją od wyrazów następujących:

— Nie spodziewałam się tego.

— Czego?

— Tęgo, że wprowadzisz mnie w towarzystwo, w którym właściwszą aniżeli ja byłaby kucharka, klucznica, ekonomówna.

— Ewelino!—zawołał pan Krzysztof.—W tém warzystwie przecie jestem i ja.

— To właśnie dziwi mnie najmocniej. Człowiek jak ty...

— Nie widzę—przerwał... różnicy pomiędzy sobą a oficyalistami moimi. Są to moi współpracownicy.

Wyraz ostatni wymówił z przyciskiem.

Pani Ewelina zaśmiała się głośno.

— Spółpraca nas jednoczy.

— Wychowanie różni.

— Wychowanie! wychowanie!—zaczął.

— Niech będzie polor—poprawiła się pani, przeczuwając snadź odpowiedź, jaką mąż miał na ustach—polor, którego dziełem jest smak, na-

kazujący nam szukać sfery odpowiedniej, rozumiejącej nas i przez nas rozumianej.

— Płytkiej i powierzchownej — wtrącił pan Krzysztof.

— Nie dostrzegłam, przyznam ci się, najmniejszej w mechanikach, rachmistrzach i ślusarzach głębokości — odparła pani z przekąsem.

— Są to jednak ludzie.

— A tamci?

— Ludzie pracy, pożytku, gdy tamci..

— Są próżniakami, tak, zgadzam się z tobą, Krzysztofie mój najdroższy — podchwyciła z przymiśleniem. — Masz racją najzupełniejszą; ale dlatego właśnie towarzystwo nasze — twoje (poprawiła się) potrzebniejsze jest tamtym, aniżeli tym.

— Czyż nie jestem wśród nich?

— Zamknięty i odosobniony. Należałoby ich przygarnąć, zwabić, postawić się w warunkach takich, ażeby w domu naszym znajdowali przyjemność, odpowiednią polorowi, który stanowi spólny pomiędzy nami a nimi mianownik. Nie przyjdzie do nas nikt dla dyskusji ze ślusarzem.

Pan Krzysztof zamyslił się na chwilę, jakby zastanawiając się nad ostatnimi żony wyrazami. W rzeczy samej, zastanawiał się nad nimi i nie potrzebował myśleć długo, ażeby dojść do tego wniosku, że nie on potrzebnym jest towarzystwu polorownemu, ale towarzystwo polorowne potrzebnym jest pani Ewelinie. Pani Ewelina potrzebowała towarzystwa odpowiedniego, zastosowanego do przywyknień jej, do jej natury. Odmawiać jej tego, zmuszać ją do obcowania z ludźmi pracy i pożytku, byłoby to naturę jej gwałcić. Pan Krzysztof poznał to z jej słów i natychmiast obmyślił plan postępowania dalszego. Postanowił żonie ustąpić przez pół.

— Masz słusność — rzekł. — Znadto nagle przerzuciłem cię ze świata w którym żyłaś, w świat o którym wyobrażenia nie miałaś. Moja wina; zbłądziłem, będę starał się ten błąd naprawić.

Pani nie dała mężowi mówić dalej. Zarzuciła mu na szyję białe ramiona i rozmowa, która mogła się z łatwością wszelką przerodzić w sprzeczkę, zakończyła się pieszczotą małżeńską.

Pan Krzysztof tego był przekonania, że zakończyły się kłopoty jego.

Ale bał był to początek tylko końca.

Półustępstwo pana Krzysztofa zależało na tym, ażeby utworzyć dom dla sąsiedztwa i gości ze sfery polorownej odosobnić od domowników. Było to rzeczą nietrudną. Orchowicki dwór posiadał salony, na których oficjalsi nie występowali, nie dlatego, żeby im to wzbronionem być miało, ale ot tak sobie, dlatego może, że się lekali ślizkiej posadzki. Salony przeto otworzyły się dla wizytujących i rewizytujących i zabrzmiały owym gwarem wesółym, który przyrównać można do szczebiotania ptactwa w gajkach. Pani Ewelina zakrólowała. Otoczono ją hołdami, na które w sferze swojej zasługiwała, raz jako kobieta, powtórnie jako istota piękna, potrzebie jako osoba utalentowana i dowcipna. Pan Krzysztof, zajęty fabrykami i gospodarstwem, nie miał czasu pomagać żonie w bawieniu gości. Cały ten ciężar spadał na nią, ciężar, który ona podejmowała chętnie, a który ze strony pana Krzysztofa był ustępstwem, uczynionem w tym celu, ażeby uzyskać ustępstwo wzajemne ze strony pani Eweliny, we względzie obiadów i wieczery. Zdawało się mu że pani, mając kompensatę dostateczną, zechce zastosować się do trybu życia, zaprowadzonego w Orchowicach, i pełnić funkcję ciepłaka serdecznego, zagrzewającego jego współpracowników.

Pani Ewelina zrazu zastosowała się niby, zajęła miejsce swoje przy stole i okazywała się łaskawą na prostaków. Trwało to jednak bardzo niedługo. Znudziła się rolą przybraną. Poczęła być sztywną, szorstką, niegrzeczną — i skończyła się na tym, że się zrobiła impertynenką, obrażając ludzi, którzy się bronić ani mogli, ani umieli. Pan Krzysztof interweniował, łagodził, nie zdało się to jednak na nic. Oficjalsi, pomimo że byli to ludzie bez poloru, poczuli obrazę godności własnej i dziękować za służbę poczęli. Podziękował jeden, drugi, trzeci — pan Krzysztof nie pytał.

Gdy atoli wydalila się połowa prawie i z kolei przedstawił się ślusarz z żądaniem dymisyi, tego ostatniego zapytał:

— I ty? cóż to, źle ci?

— Hm... — odparł zapytany, w głowę się drażniąc.

— Zarabiasz mało? zarobek cię nie dochodzi?

— Zarobek mię dochodzi, ale z taką okrasą, że wyrzekłbym się połowy, byle okrasa tej nie było.

— Czy cię kto krzywdzi?

— Krzywdzić nie krzywdzi, ale się krzywi.

— Mówisz zagadkami, chciałbym żebyś się tłumaczył wyraźnie.

— A no, kiedy ma być wyraźnie, to niechże będzie. Człek nie lubi kiedy mu w kaszę pluja, a on odplunąć nie może. Zasiadanie do stołu pańskiego stoi mi już kością tu... o..

Tu sobie palcem na gardło pokazał.

Pan Krzysztof milezał, markotny.

— Wolalbym — powiedział ślusarz — i zaszczytu tego nie dostępować, i nie nieść do gęby łyżki strawy pod okiem, któreby mnie zdławić chciało. Dlatego proszę pana uniżenie — tu się uklonił — kazać mię obrachować i uwolnić. Stanę do roboty gdzieindziej.

— Gdzie? — zapytał pan Krzysztof od niechcenia.

— W Kochanówce u pana Zdziarnowskiego, który sobie pałac buduje. Roboty huk.

— Nieuwolić cię nie mam prawa — była pana Krzysztofa odpowiedź. Radbym cię jednak zatrzymać.

— I jaby pozostać rad.

— No więc?

— Gdyby to można tak jakoś...

— A jeżeli oddzielny zaprowadzę stół?

— O! więcej nie chcę niczego. Niech jeno dać mniejsze wróć czas.

Musiał więc pan Krzysztof nowe żonie ustępstwo zrobić. Zorganizował drugi stół, który pozostał na miejscu tym samym, na którym stał spólny, pierwszy zaś postawiony został w pokoju położonym na przeciwległej dworu stronie.

— Ha! cóż robić! — pomyślał sobie.

Wykrzyk ten odnosił się do ofiary jaką czynił. Była to ofiara w rzeczy samej; ustępstwo tyczenie się przekonań, sankcjonowanych przez sumienie obywatelskie, przekonań powinowatych tym, na mocy których prawodawca spartański zaprowadził stoły wspólne. Uczynił on to dla ugruntowania współobywatelstwa, w celu wyrobienia pomiędzy synami jednej ziemi owego uczucia, sprawiającego to, że jeden staje za wszystkich, a wszyscy za jednego. Pan Krzysztof chciał się w ten sposób z podwładnymi swoimi zespolić. Nauka, światłem od nich wyższy, chciał się im udzielać, wzajemnie za to uzyskując życzliwość ich i przywiązanie. Upatrywał korzyść obustronną. Niestety! korzyści tej wyrzec się musiał. Mógłże zrobić inaczej? Stanąwszy w obec dylematu: albo żona, albo oficjalsi, musiał tych ostatnich na drugi zepchnąć plan, tym bardziej że ojcem miał zostać.

We dworze tedy orchowickim nowy nastał porządek.

Pan i pani oddzielili się, odosobnili, odgradzili od domowników niby obłokiem, za którym wznosił się majestat pański, podnoszony przez gości, znamionujących sferę świata polorownego. Polor wszedł we wszystkie prawa swoje. Intruz żaden nie wprowadzał dysonansu w harmonię utworzoną z paplaniny salonowej. Rozmowa tkana z obmowy, ploteczek, komunałów, fabrykowanych zaszczytów, odgrzewanych conceptów i fałszowanych sentencji, popłynęła korytem pełnym. Pani była zadowolona — tryumfowała. Winszowała sobie że dopięła nareszcie tego, co uważała za rzecz słuszną i godziwą.

„Nareszcie — pisała do matki — oskrobać potrafiłam korę z mego małżonka najdroższego. Krzysztof jest w gruncie człowiek najlepszy. Całe nie-szczęście, że się uczył za dużo i głowę sobie zawrócił. Dzięki nauce, stworzył sobie świat dziwny, który usiłował koniecznie do praktyki życia zastosować. Chciało mu się być Likurgiem w Or-

chowicach. Przerobiłam to jednak. Jadamy już osobno i możemy przecież na obiad kogoś zaprosić. Spodziewam się że Krzysztofa do reszty opoleruję, zwłaszcza jeżeli mi Pan Bóg da syna, który będzie na niego wędziłem i którego wychować zamierzam na człowieka do ojca niepodobnego. Nie! o, nie chcę, ażeby syn mój był uczonym. Przekonałam się że ewangelia ma racją wielką, przenosząc prostaczków nad mężów nauki. Pani Zdziarnowskiej życie upływa niby na różach, dlatego że mąż jej był w szkołach nieukiem, co nie przeszkadza bynajmniej, że jest obywatelem znacnym, rozumnym, szanowanym; i człowiekiem z gustem. Co za pałac buduje! Niech no tylko syn przyjdzie, którego Krzysztof życzy sobie bardzo, to i ja o czémś podobnym pomyszę. I ja w mego pana gust wszcześcić potrafię.“

Urodził się syn.

Urodziła się następnie córka.

Synowi dostało się imię Franciszek, córce Helena.

Franio i Helcia podrastali, w odległości lat trzech jedno od drugiego. Siostrzyczka, zdawało się popędzała braciszka naprzód. Ten umykał, tamta doganiała. Była to gonitwa aniołków — aniołków istnych, jakimi są dziatki wszystkie wogóle, zwłaszcza zaś dla rodziców własnych. Pan Krzysztof zachwycał się synem swoim i córeczką swoją. Kochał ich, kochał nad życie i miała pani Ewelina racją, opierając zamiary swoje na dzieciach. Miała racją, ale nie zupełną. Sądziła że za ich pomocą doprowadzić zdoła do ostateczności ustępstwa ze strony męża. Trafila jednak kosa na kamień.

Kosą była pani Ewelina, kamieniem stał się nagle pan Krzysztof.

Stał się kamieniem nie we względzie pałacu, o którym nawet mowy nie było jeszcze, ani też we względzie wymysłów różnych innych, które tolerował, ale we względzie wychowania dzieci.

Okazał się niezłomnym, jak skała.

Co do syna — powiedział:

— Będę starał się wykierować go na człowieka pracy, wprowadzę go na drogę obowiązku; niech od kolébki poznawać zaczyna, co się jemu od ludzi należy, i co się ludziom należy od niego. Urodził się bogatym, jest więc dłużnikiem świata, obowiązany do placenia procentu życiem własnym i wartością osobistą.

Pani nie mogła wręcz temu przeczyć, pomimo że z zapatrywaniem takim bynajmniej się nie zgadzała, uważając je za sofizmat błędny, wysnuty z teoryj, któremi pan Krzysztof głowę sobie w uniwersytetach nadział. Miała męża za studenta niepoprawnego, z którym dyskutowanie nie prowadzi do niczego. Jedyny przeto zarzut, jaki mu czyniła, czerpała w tym, że Franio jest dzieckiem zbyt jeszcze małym, a zatem kierowanie go na człowieka odłożyć należy na później. Odkładanie bywa sposobem skutecznym. Sposób ten atoli nie nadawał się z panem Krzysztofem, który się uparł, niwecząc z zaciętością osobliwą wszystko, w czym upatrywał kierowanie chłopca na paniatko. Nastąpiło więc, co nastąpić musiało. Zapanaowała dysharmonia pomiędzy małżeństwem, która, postępując stopniowo, doszła do tego, że razu pewnego pan Krzysztof, powróciwszy po parudniowej niebytności do domu, zastał pustką miejsce zajmowane przez żonę i dzieci.

— Gdzie pani? — rzucił zapytanie pierwszemu ze służących którego spotkał.

— Wyjechała.

— Dokąd?

— Niewiadomo... Zabrała się ze wszystkiemi i wyjechała.

— Czy tu był kto?

— Byli państwo Zdziarnowsy.

Pan Krzysztof usta skrzywił, głową pokiwał i zamilkł.

Pani Ewelina wyjechała do rodziców, do owego pałacyku eleganckiego, w którego ogrodzie widzieliśmy znajomego naszego ulicznika i roman-sującą parę.

Co to była za para, odgadnąć łatwo.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Z widowni wojny. Wojsko regularne i ochotnicy w Serbii.



Z widowni wojny. Wojsko regularne tureckie.

Artykuły treści naukowej, z innych piśmiennictw czerpane.

WPŁYW CIŚNIENIA POWIETRZA

NA ISTOTY ŻYJĄCE.

Podług

Pawła Bert.

(Dokończenie.)

W tym ostatnim razie nurek kładzie na głowę helm metalowy, z otworami oszklonemi. Do helmu tego pompa tłocząca wypycha ściśnione powietrze, które przez samą prężność swoją uchodzi następnie osobnymi otworami. Tym sposobem osiąga się równowagę między wodą cisnącą z zewnątrz, a powietrzem, którym nurek oddycha; jest-to warunek konieczny, gdyż w razie przeciwnym natychmiast śmierćspotkać go może. Ubranie jest nieprzemakalne i wewnątrz niego powietrze również dochodzi. Zapomocą tego przyrządu nurkowie mogą szukać pereł, gąbek lub koralii, w głębokości czterdziestu metrów, oddychając wtedy powietrzem, posiadającym prężność pięciu atmosfer.

Przyrządy do budowy filarów mostowych, są to poprostu udoskonalone dzwony nurkowe. Zastosował je po raz pierwszy p. Friger, przy budowie chodników górniczych pod łożyskiem Loire'y. Oto pokrótce opis tego przyrządu:

W łożysko rzeki zanurza się rurę żelazną stosownej średnicy, sięgającą do dna i połączoną u wierzchu z komorą, do której pompa tłocząca wypycha powietrze. Powietrze to prężnością swoją wypycha wodę z rury i uchodzi na zewnątrz, popod jej ścianami. Wtedy robotnicy, przez kilkoro drzwi szczelnie zamykających się, wchodzi do komory, spuszcza ją się po drabinie na dno rzeki i kopią ziemię, przez co rura zagłębia się własnym ciężarem; następnie u wierzchu nituje się rurę drugą, trzecią i tak dalej, dopóki dolny koniec rury nie oprze się na twardej opoce. Dalej cylinder wypełnia się betonem i fundament filaru jest gotowy. Ciśnienie powietrza w takich rurach dochodzi również pięciu atmosfer.

Otóż, zarówno u nurków, jak i u robotników pracujących w owych cylindrach żelaznych, zdarzały się niejednokrotnie objawy chorobliwe, a nawet wypadki śmierci. Pierwszym zjawiskiem i pierwszym symptomem choroby jest nieznośne swędzenie skóry; następnie pojawia się ból w mięśniach i stawach, tych zwłaszcza, które przy pracy najwięcej ruchów wykonywały, wreszcie paraliż kończyn dolnych, uporezywy i nieraz śmiertelny. Zdarzały się także wypadki nagłej śmierci. Na stu sześćdziesięciu robotników, pracujących około fundamentów mostu w Saint-Louis (w Stanie Missouri), trzydziestu przebyło ciężką chorobę, a dwunastu umarło.

Nie będę wyliczał wszystkich hipotez, wymyślonych przez lekarzy, w celu wyjaśnienia tych zjawisk. Na pierwszym miejscu, rozumie się, postawiono wpływ ciśnienia mechanicznego. „Ciśnienie w rurze—mówi pewien autor—zgniata człowieka! Rzeczywiście, gdyby ciśnienie mechaniczne wywierało taki wpływ na organizm, to i pięciu atmosfer do zgniecenia nie potrzeba, bo już przy trzech ciał naszemu musiałoby dźwigać ciężar 45,000 kilogramów (około 1,100 centnarów). Na szczęście fizyka elementarna uspokaja nas w tym względzie.

Robotnicy przy budowie mostu w Kehl na Renie dowcipnie a nader trafnie mówili o swoim zajęciu: „płaci się dopiero przy wyjściu.“ Warto było dawniej zwrócić uwagę na to zdanie, gdyż w rzeczy samej, nie ciśnienie zwiększone, lecz powrót do ciśnienia zwykłego zgubne następstwa spowodował.

Przekonałem się o tym na podstawie całego

szeregu doświadczeń, z których główne wymienię.

Umieściłem szczur w naczyniu szklanym i wywarłem nań ciśnienie dziesięciu atmosfer; szczur nie objawiał w tak zgęszczonej atmosferze żadnych symptomatów chorobliwych; lecz skoro otworzyłem kurek, przez co w ciągu kilku sekund powietrze w naczyniu wróciło do ciśnienia normalnego, szczur zatoczył się parę razy i po chwili żyć przestał. Zrobiwszy natychmiast sekcję, przekonałem się że serce i główne naczynia miały przepelnione gazem. Odbyłem także doświadczenie z kotem i z naczyni jego zebrałem przeszło 50 centymetrów sześciennych gazu, składającego się głównie z azotu, z małą ilością kwasu węglowego.

Cóż więc było powodem śmierci? Oto zwierzę, oddychając powietrzem ściśnionym, wprowadzało do krwi nadmierną ilość powietrza; skoro ciśnienie wróciło do stanu normalnego, wówczas gazy, które krew była przeładowana, wydzielały się i nastąpiło zjawisko takie, jakie widzimy przy odkorkowaniu butelki piwa, lub naciśnięciu kurka od syfonu z wodą sodową. Tlen wprawdzie połączył się z krwią, ale azot, uwolniony się z więzów, wydzielił się natychmiast i uprowadził z sobą nieco kwasu węglowego; przez nagłe to wydzielenie wstrzymany został obieg krwi i śmierć natychmiast nastąpiła.

Zadaleko zaprowadziłoby mnie wyliczanie wszystkich ciekawych zjawisk, jakie towarzyszą temu wydzieleniu się gazów. Powiem tylko, że po zbadaniu ich, udzieliłem pewnemu towarzystwu przemysłowemu wskazówek co do zachowania się robotników w powietrzu ściśnionym, i po zastosowaniu podanych przezemnie prawideł ostrożności, ani jeden wypadek śmierci lub choroby nie zdarzył się w ich warstatach.

Nie należy jednakże sądzić, aby wpływ powietrza ściśnionego sam przez się nie był zdolny wywołać złych następstw. Chcąc się o tym przekonać, posunąłem swoje doświadczenia do granic ostatecznych. Umieściłem wróbla w powietrzu posiadającym prężność dwudziestu atmosfer; w kilka minut zaczął drgać, wpadł w konwulsję takie, jakie wywołuje zażycie strychniny i zdechł niebawem. Że nie ciśnienie mechaniczne jest powodem tych objawów, o tym przekonały mnie doświadczenia odbyte w dwóch kierunkach: symptomata chorobliwe pojawiały się przy ciśnieniu pięciu atmosfer, gdy zamiast powietrza używałem czystego tlenu; nie pojawiały się natomiast wcale przy ciśnieniu dwudziestu atmosfer, gdy używałem powietrza zawierającego bardzo małą ilość tlenu.

Ztąd wynika, że tlen, przy wysokim ciśnieniu, zabija zwierzęta. Wyznałem że wahałem się długo, zanim zdecydowałem się dać miano zabójcy temu karmicielowi wszystkich istot żyjących, a przecież w końcu musiałem uleść, wobec rzeczywistości. Tak jest wistocie: tlen może być trucizną; on, który w nas utrzymuje życie, może i śmierć zadać, gdy nadmiernie zostaje użyty. Badałem gruntownie tę paradoksalną truciznę i oznaczyłem jej działanie na tkanki organiczne.

Nowa przy tej pracy czekała mnie niespodzianka. Widząc że tlen zabija wróbla, mniemałem że dzieje się to wskutek przyspieszonego utleniania węgla, przyczem naturalnie i temperatura ciała podnieść się powinna. Jakież było moje zdziwienie, gdy zapomocą termometru przekonałem się, że u zwierząt wpadających w konwulsję pod wysokim ciśnieniem, temperatura ciała zniża się o kilka stopni. Zbadanie innych zjawisk potwierdziło to pierwsze spostrzeżenie i doprowadziło mnie do wniosku, że nadmiar tlenu działa zabójczo nie przez spotęgowanie funkeyj życiowych,

lecz właśnie przez zatamowanie czynności utleniającej wewnątrz organizmu.

Ta zgubna działalność tlenu objawiać się zaczyna u zwierząt przy ciśnieniu pięciu atmosfer, a u człowieka nawet niżej, i mniemam, że tej to działalności przypisać należy niektóre chorobliwe objawy, dające się spostrzegać u robotników, którzy przez długi czas, n. p. przez kilka miesięcy, pracowali w powietrzu ściśnionym. Nie mam pod tym względem zupełnej pewności, lecz zato twierdzę stanowczo, że gdyby potrzeby przemysłu zniewoliły kogokolwiek do wystawienia robotników na ciśnienie większe niż sześciu atmosfer, wtedy nie powrót już do ciśnienia normalnego, o czym wyżej mówiłem, lecz sama tak wysoka prężność byłaby źródłem smutnych wypadków.

Zabójcze działanie tlenu przy wysokim ciśnieniu rozciąga się nie tylko do człowieka i zwierząt wyższych, lecz do wszystkich istot żyjących, kręgowych i bezkręgowych, powietrznych, ziemnych i wodnych, roślinnych i zwierzęcych, wielkich i mikroskopijnie małych. Co do tych ostatnich, wymienię fakt wiele zajmujący.

Od czasu rozgłoszonych badań Pasteura wiadomo powszechnie, że zjawiska, znane pod ogólną nazwą fermentacyi, są dwojakiego rodzaju: jedne którym towarzyszy rozwój istot mikroskopowych żyjących, czyli fermentacye właściwe; drugie, zależne od działania substancyj rozpuszczalnych, nieorganizowanych, czyli fermentacye diastazowe. Otóż przekonałem się, że tlen o wysokim ciśnieniu wstrzymuje postęp fermentacyj właściwych, a nie wywiera żadnego wpływu na fermentacye diastazowe.

Fermentacya piwa, okowity, kwaśnienie wina, gnicie mięsa i t. d. powstają przez rozwój żyjątek mikroskopowych; wszystkie te zjawiska można przerwać zapomocą ciśnienia powietrza, którego tlen działa wówczas zabójczo, a potem można przywrócić ciśnienie normalne, i jeżeli ustrzeżemy piwo, mięso i t. d. od nowych zarodków tychże żyjątek, to fermentacya nie powtórzy się już wcale.

Mniemałem, że tym sposobem zdołam uchronić od zepsucia mięso, jaja i inne artykuły żywności. Tymczasem proceder mój okazał się niepraktycznym: mięso nie gniło wprawdzie, ale tlen nie mógł przerwać działania pseudo-fermentacyi diastazowej, w skutek której mięso nabięrało smaku kwasowatego, wcale nieprzyjemnego.

Łatwo pojąć, jak ważnym jest ten nowy środek przekonywania się o obecności istot lub zarodków żyjących. Jestem pewien, że zawiłe dzieje fermentów, miazmatów, jadów i wydzielin zaraźliwych mogą za jego pomocą pozyskać nowe a gruntowne podstawy.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Ciśnienie atmosferyczne odgrywa w warunkach bytu istot żyjących ważniejszą rolę, niż mniemamy. Bardzo prawdopodobną jest hipoteza, że w pierwszych epokach geologicznych ciśnienie atmosfery było daleko większe, niż obecnie. Jest-to jeden punkt więcej, który należy brać na uwagę przy badaniu początków życia na naszym globie. Jeżeli zaś zastanowimy się nad przyszłością, to jasną jest rzeczą, że ciśnienie powietrza, tak jak ilość wody, stopniowo zmniejszać się będzie na powierzchni ziemi. Ztąd wniosek, że po pewnej, niedającej się obrachować liczbie wieków, istotom żyjącym zagrażać będzie uduszenie, wskutek zmniejszonego ciśnienia. Okres przeto wszelkiego życia na ziemi zawarty jest między dwiema granicami, to jest między nadmiarem i niedostatkiem ciśnienia. Życie rozpoczęło się po ustaniu zbyt wielkiej prężności atmosfery, a zakończy się, gdy prężność ta nazbyt małą się stanie.

Kobieta w Indjach, jej przeszłość i przyszłość.

przez Leona Quesnel.

Powszechnym jest mniemanie, że kobieta stanowisko, jakie zajmuje w społeczeństwie nowożytnym, zawdzięcza chrystyanizmowi. Zgadza się na to zupełnie, że nowy zakon religijny, pod tym jak i wielu innymi względami, udoskonalił przepisy praw dawniejszych. Położywszy miłość za podstawę organizacji społecznej, głosząc prawo braterstwa i gruntując cały gmach religijny, poczawszy od upadku aż do odkupienia człowieka, na dogmacie solidarności ludzkiej, chrystyanizm zniósł *prawo mocniejszego*, na którym opierał się ucisk kobiety. Przyznajemy również, że w stanie, w jakim znajdował się świat podczas przyścia Chrystusa, instytucje chrześcijańskie i małżeństwo nierozdzielalne stały się dla kobiety opieką i względą ręką niezależności. Wiemy narzeczcie i codziennie to widzimy, że dzięki blizkiemu powinowactwu, zachodzącemu między kobietą a kultem oczyszczonym miłosierdziem i miłością, utworzyło się między nią a kapłaństwem chrześcijańskim pewne przymierze naturalne, które jej zapewniło jakiś udział w wysoko i głęboko sięgającym wpływie jej sprzymierzeńca. Ale przyznając, że z rzadkimi wyjątkami, wolność i godność kobiety od dwóch tysięcy lat były i są nawet dziś jeszcze uszanowane jedynie w krajach, w których panuje chrześcijaństwo; przyznając, że zasady religii naszej mieszczą w sobie, tak pod tym, jak pod innymi względami, zarodki wszelkiego dalszego rozwoju organizacji społecznej—nie możemy jednak wstrzymać się od twierdzenia, że ideał cnoty niewieściej znaleźć już można w księgach indyjskich i hebrajskich. Weźmy na przykład wizerunek kobiety, skróślony w *Księdze przysłów*, wizerunek, który sobie religia chrześcijańska przyswoiła, ale którego nie stworzyła, a przekonamy się, że wszystkie prawa zasadnicze kobiety były w owej epoce uznane i szanowane. Przebiegnijmy z jednej strony pisma hebrajskie, z drugiej księgi zawierające w sobie naukę Wedy i poemata religijne, które były ich rozwinięciem,—a zobaczymy że ideał kobiety wzniolejszym był w tych wiekach zapadłych, aniżeli w peryodzie pośrednim. Stanowisko kobiety pozostaje w naturalnej zależności od stanowiska całego ciała społecznego. Poniżenie jej lub wywyższenie, czy ono będzie przyczyną, czy skutkiem upadku lub dźwignięcia się społeczeństwa, jest w każdym razie niezawodną jego miarą. Niema więc w tém nic dziwnego, że o ile ludzkość oddalała się od moralnego i religijnego ideału, który służył za punkt wyjścia prawodawcom, o tyle zepsucie obyczajów objawiało się w poniżeniu i ucisku kobiety. Chcąc tedy w całej pierwotnej jego czystości odszukać ideał kobiety, jaki sobie który naród utworzył, nietylko radzić się trzeba praw cywilnych i ich praktyki, ile raczej pomników religijnych i starożytnych tradycy.

I.

Zacznijmy od ksiąg żydowskich, ze względu na ich blizkie powinowactwo z księgami indyjskimi, na to że one są nam powszechniej znane. Wszędzie sławia one w kobiecie cnoty niewzruszone, siłę, mądrość. „Piękność jest znikoma—mówią—ale niewiasta, która się boi Pana, chwaloną będzie.“ Salomona nikt tak nie pojmował i nie uwielbiał, jak jedna z kobiet. Deborah jest nie tylko poetką, wodzem umięjącym natchnąć i rozbudzić lud uspiomy i prowadzić go do boju, ale jest obok tego prorokinią, a przedewszystkiem żywym uosobieniem ducha i życia ludu żydowskiego. Ze charakter taki jak Debora mógł nakręślić pisarz jednej z ksiąg świętych, świadczy to dostatecznie, jak wysoko pojmowali Hebrajczycy ideał kobiety. Judyta, choć nie tak czysta, niemniej jednak jest bohaterką i niemniej okazuje rozum i niezależność. Matka Machabeuszów, której imienia nie przekazała nam historia, posiada całą wiarę Debory, całą odwagę Judyty, a obok tego

całą wielkość męczennicy chrześcijańskiej. Estera jest typem delikatniejszym, bardziej kobiecym, ale niemniej wzniosłym. Rachel jest towarzyszką Jakuba, we wszystkiemu mu równą; Rebeka z własnej woli opuszcza namiot Labana, starego ojca, i idzie za mężem. Ruth zbierała kłosa swobodnie, z innymi dziewczętami, na polach Boza, kiedy ten zaczął się jej zalecać, nie na sposób grecki, w wyrazach pałających miłością, ale z uczuciem szacunku i najwyższej delikatności. Wszystko wskazuje nam, że kobieta żydowska ukazywała się bez zastłony, rozmawiała z mężczyznami na placach publicznych, wchodziła między podróżnych i pasterzy. Wszystko świadczy, że była przedmiotem poszanowania swoich synów i miłości swego małżonka. Kiedy Elkanah pociesza Annę po stracie dziecka, mówi do niej: „O niewiasto! dlaczego serce twoje jest zasmucone? Ażaliż ja ci nie zostaję i ażaliż nie jestem dla ciebie lepszym, niżby dziesięciu synów być mogło?“ Prorok Elizeusz, podobnie jak Salomon, ma kobietę za ucznia i za przyjaciela. Sunamitka w każdy sabat chodziła słuchać nauk „męża Bożego“, i stosownie do tych nauk, zachowywała się w domu, jako kobieta niemająca nad sobą innego pana, oprócz siebie. Uczyla się umacniać i krzepić męża swego w ciężkich próbach żywota. Od niej wreszcie prorok otrzymywał środki utrzymania życia, a kiedy się jej pytał, jakiej żąda za to nagrody, odpowiedziała: „Pragnę pozostać z moim ludem,“ to znaczy: nie chcę się niczym wyszczególniać; żyję w cieniu i jestem kobietą, jak każda inna.

Trzeba zwrócić uwagę i na to, że wszystkie te wielkie charaktery kobiece, które nazywają *niewiastami biblijnymi*, nie noszą na sobie cechy wyjątkowości, nadzwyczajności. Wszystkie te kobiety są żonami i matkami, wiodącymi żywot wspólny z innymi i łączącymi wielkie cnoty patriotyczne, heroizm osobisty i miłość mądrości, z praktyką obowiązków rodzinnych. Deborah była żoną Lapedota; Judyta wdową po Manasiesie, po którym długo żałobę nosiła; Anna była kochającą matką Samuela, a Ruth pełną szacunku, dobrą i przywiązaną synową Noemi. Cóż może być tkliwszego nad jej miłość dla kobiety daleko starszej, i czyż można znaleźć piękniejszy wzór przyjaźni kobiecej? „Nie żądaj odemnie,—mówi Ruth do swiekry swojej—abym cię opuściła; nie żądaj abym nie szła za tobą. Gdzie ty pójdziesz, i ja pójdę; zostanę tam, gdzie ty zostaniesz; twój lud będzie moim ludem i twój Bóg moim Bogiem.“

Ale znikąd nie można powziąć tak dokładnego i trafnego wyobrażenia o szacunku, jaki u Żydów otaczał kobietę, jak z przysłów i przypowieści:

„Ten kto znalazł dobrą żonę, znalazł wielkie dobro i otrzymał łaskę u Pana.“

„Cnotliwa żona, to męża korona.“

„Jeżeli człowiek gardzi matką i ojcem, lampą jego zgaśnie w ciemnościach.“

„Każdy człowiek ma cześć matkę swoją i ojca swego.“

Cześć dla matki na pierwszym zawsze stoi tu miejscu.

W *Deuteronomium* widzimy, że mężczyzna świeżo ożeniony wolnym był przez rok od służby wojskowej i od ciężarów publicznych, „aby mógł pozostać w domu, przy bogu młodej żony.“ Niezawodnie rozum stanu, potrzeba zapewnienia wzrostu ludności przewodniczyła temu rozporządzeniu; ale inne ludy innych używały środków do osiągnięcia tego celu. Miłość małżeńska wielką rolę odgrywa w życiu Żydów. Prawa matki do dziecka widzimy silnie zapewnione w Piśmie Świętym. Ona to, jak nam pokazuje przykład Anny, poświęcającej Samuela Panu, przedstawiała synów swoich w świątyni. Najwyższym wreszcie i najcharakterystyczniejszym z jej przywilejów jest to, że zarówno z mężczyzną posiadała dar proroczy. Udział jej w tej najwyższej funkcji dowodzi, że uważana była jako równa mężczyźnie wobec Boga; jest to pojęcie zasadnicze, z którego wypływały wszystkie inne jej prawa. Kobiety żydejskie nadużywały nawet tego prawa prorokowania i podnoszenia głosu w świątyni; gdyż Ezechiel, powstając na fałszywych proroków, którzy

oszukiwali lud kłamliwymi słowy, mówi w jednym miejscu: „Powstań, synu człowieczy, przeciw tym dziewczkom z twojego ludu, które prorokują same z siebie i bez natchnienia Pańskiego.“

Kobieta u Żydów jest nie tylko przedmiotem miłości swego męża, poszanowania swoich dzieci, istotą rozumną, która rozmawia z mędracami, istotą niekiedy nadnaturalną, której lud cały słucha, ale jest jeszcze niejako uosobieniem duszy ludzkości. *Fieśń nad pieśniami*, pod postacią miłości dwojga małżonków, sławi zjednoczenie mistyczne najwyższej mądrości z mądrością ludzką. Również pod postacią kobiety przedstawiona jest Mądrość, w autentycznych czy apokryficznych księgach Salomona: „Kochałem ją bardziej niż zdrowie, bardziej niż piękność. Wejść do mego domu i spoczęć wraz z nią; albowiem rozmowa z nią nie ma w sobie goryczy i nie przynosi smutku, ale szczęście i rozkosz sprawia jedynie.“

(Dokończenie nastąpi.)

Sztuka włoska w epoce odrodzenia,

przez M. Carrière'a.

II.

Rozkwit sztuki włoskiej.—Leonardo da Vinci.—Micheł Anioł, Rafael, Correggio, Tycjan.

(Dalszy ciąg).

Uznaję teraz, iż gorące pragnienia moje, które bezbożnym żarem dla sztuki płonęły, często mnie obarczały brzemieniem błędów, że niedorzecznym jest krzanie się i działanie człowieka. Gdy dla ciała niechybny zgon już zgotowany, a duszy grozi śmierć, coż wtedy może znaczyć powab późnej miłości? Ni farby, ni dłuto nie mogą zapewnić trwałego pokoju duchowi, szukającemu owej miłości, co pozwoliła swe ramiona rozpiąć na krzyżu, by wnieść nas ku górze.“

Swobodne, subiektywne pojmowanie przedmiotu, śmiałe i wspaniałe traktowanie form, odróżniają stanowczo rzeźby Michała Anioła od utworów poprzednich wieków; pociągnął on społeczeństwo i nadrastających dopiero artystów na utworzoną przez siebie drogę i ztąd pod jego wpływem Montorsoli, Guglielmo della Porta, Rafael da Montelupe wykonali niejedno znakomite dzieło. Uczniom tym i naśladowcom zbywało jednak na duchowej treści, na potęgę uczucia i myśli; ztąd odtwarzali oni gwałtowne ruchy, potężnie wyprężone mięśnie, bez umotywowania wewnętrznego. Różnicę między prawdziwą a fałszywą genialnością ukazują nam najdobitniej utwory Bandinello, który w swęj próżności i zawisci usiłował przewyższyć zarówno swego mistrza, jak i antyki, pomimo iż mu zbywało na poczuciu artystycznym. Tycjan sparodyował jego Laokooną, narysowawszy orangutanga i dwie małe małpy, splecione przez węże, w tychże samych postawach, co i postaci artysty.

Pomiędzy malarzami dwie znakomite potęgi artystyczne poszły w kierunku Michała Anioła. Sebastyan del Piombo, wyborny portrecista i kolorysta ze szkoły weneckiej, przybywszy do Rzymu, bądź wykonał farbami obrazy według pomysłów Michała Anioła, bądź też tworzył sam, trzymając się w kompozycji i rysunku zasad mistrza. Wpływ ten widzimy zarówno we fresku przedstawiającym „Biczowanie Chrystusa“, jak w olejnym obrazie „Wskrzeszenie Łazarza“, wykonanym przy współubieganiu się z Rafaelem. Toż samo powiedzieć możemy o wspaniałym i wstrząsającym do głębi „Zdjęciu z krzyża“ Daniela da Voltera, w kościele Trinita del Monti w Rzymie. Martwe ciało Chrystusa, jaśniejące najszlachetniejszą pięknnością, uderzający tworzy kontrast z ruchliwością i dramatycznością otaczającego tłumu. U innych mniej zdolnych następców i uznanego dziejopisa sztuki Vasarego, wyodrębliła się pierwotna wielkość wrzemielniczą, błyskotliwą manierę. Kilku florenckich mistrzów pozostawało również pod wpływem swobody form Michała Anioła, jak i wszechstronności

opracowania zalecaniej przez Leonarda; jednakże nie stali się oni uczniami i naśladowcami tych mistrzów, lecz wytworzyli odrębne artystyczne indywidualności. Szczególniej odznaczyli się między nimi: Fra Bartolomeo i Andrea del Sarto. Pierwszy z nich, nazwiskiem Baccio della Porta (1469—1517), wyszedł ze szkoły Cosima Rosellego i był gorącym zwolennikiem Savonaroli. Śmierć męczeńska natehniętego kaznodziei tak głęboko wstrząsnęła Portę, iż wyrzekłszy się sztuki, wstąpił do klasztoru San Marco, gdzie przybrał miano Fra Bartolomeo. Wpływ młodocianego Rafaela (1504 r.) skłonił go do wznowienia działalności artystycznej, której głównym polem były malowidła ołtarzowe. Przedstawia on zwykle obok Maryi z dziecięciami, lub obok zmartwychwstającego Zbawiciela, kilka postaci pełnych podniosłości i pobożności. W układzie obrazów umiał ze ścisłą symetrią łączyć różnorodność i samostojność indywidualną swych postaci, pełnych wyrazu w rysach oblicza. Głębokość i czystość kolorytu przyczyniała się jeszcze bardziej do nadania piętna uroczystości harmonijnemu zespoleniu tych wszystkich pierwiastków. Artysta ten przekładał spokój nad rzech, chociaż „Zdjęcie z krzyża“ przekonywa, iż umiał i tym ostatnim wstrząsnąć widza. Trzy rozliczne odcienia boleści, odbite w trzech postaciach Maryi Magdaleny, przyiskajającej do serca nogi Chrystusa, Jana unoszącego górną część ciała Zbawiciela, podczas gdy zboliała Matka wpatruje się pochylona w martwe rysy syna, znajdują swe zjednoczenie w śmiertelnym spokoju opromienionego w śmierci Chrystusa.

Andrea del Sarto (1488—1530) nie posiadał wielkości duszy właściwej poprzedniemu. Lekkością swą naraził się na utratę protekcji Franciszka I, gdyż pieniądze, dane sobie na zakupno dzieł sztuki, strwonił na własne przyjemności. Miał on zmysł dla wesołych powabów, ztąd w swoich Madonnach i obrazach kościelnych błyszczał szczególnym mistrzostwem kolorytu, przez co stał się pośrednim ogniwem między Coreggim a weneckimi mistrzami. Czy to w miękich odcieniach barw ciała, czy w świetnym połysku szat, łączył szczęśliwie blask ze złotawym półcieniem. To upodobanie w zmysłowej piękności nagradzało choć w części brak religijnego uczucia i twórczości artystycznej. Ztąd powtarza on wielokrotnie każdy szczęśliwy pomysł i zachwyca nas zwykle nie treścią swój kompozycji i charakterystyką postaci głównych, lecz drugorzędniemi figurami, w których życie społeczeństwa florenckiego rysuje się w sposób wdzięcznej pogody i naiwnej wesołości. Współpracownikami Andrea del Sarto byli: Marcantonio Franciabigio i Pantorno; za kierunkiem Fra Bartolomea poszli: Mariotto, Albertinelli i Ridolfo Ghirlandajo.

Jak Psalmy, homeryczna epopeja, grecka plastyka i architektura były nie tylko narodowemi, lecz ogólnie ludzkimi utworami i ztąd stały się wspólną własnością wszystkich ludów, dla zrozumienia i przyswojenia której nie potrzebujemy wtajemniczać się w ducha i właściwości ludu oraz epoki ich powstania — tak samo malarstwo włoskie z epoki odrodzenia jest nie tylko najpiękniejszym kwiatem w wieńcu zasług swój ojczyzny, lecz zarazem tak czysto i uniwersalnie odbija piękno malarzkie, jak Fidyaszi i Praksyteles piękno plastyczne, a Mozart i Beethoven muzyczne. Pod tym względem żaden z mistrzów włoskich nie zaszedł tak wysoko, jak Rafael (1483—1520). Piękno formy, pojmowane nie jako zewnętrzna harmonia stosunków, linii, barw, lecz jako wyraz wewnętrznej harmonii — oto piętno Rafaela. Ujmuje on widzialny byt w całej rozległości; nie zna żadnych ograniczeń dla materiału, przyswajając sobie techniczne zdobycze wszystkich szkół; treść jednak dobywa z głębin własnego serca, stawiając sobie za cel dążenia przedstawianie ideału uczucia w widzialnych formach i barwach. Wszędzie i zawsze u niego dusza stanowi skalę piękności i podstawę powabu z harmonii płynącego. Miłość artysty odbija się we wdzięku roz-

lanym w jego postaciach, czystość serca, jasność umysłu i majestat duchowy widnieją w wielkich, wdzięcznych liniach, ich rytmicznym biegu i swobodnych kombinacjach. Źródłem tych wszystkich przymiotów był charakter Rafaela; ostatecznie bowiem każdy artysta przedstawia siebie samego. Vasari, współczesny, podziwiany uczeń Michała Anioła, pisze o Rafaelu: „Pomiędzy jego rzadkiemi darami spostrzegam jeden, który mnie napełnia podziwieniem, z powodu wielkiej swój wartości. Niebo dało mu siłę do uwydatnienia w działaniu artystycznym takiej miłości, że inni malarze, gdy wspólnie z nim pracują, powściągają się sami, zapominając o każdej złości i pospolitej myśli. Podobne zjednoczenie nigdy i nigdzie nie istniało. Przyczyną jego był urok jaki wywierało szlachetne, przyjacielskie postępowanie mistrza, a więcej jeszcze potęgą pięknej jego natury, tak pełnej szlachetności i miłości, że nie tylko ludzie, lecz nawet zwierzęta cześć mu okazywały. Opowiadają że gdy jakikolwiek malarz potrzebował rysunku i prosił o to Rafaela, on, choćby dla nieznanego, swą własną robotę przerywał, by prosiącemu dopomóc. Z ojcowską miłością objaśniał artystów pod jego kierunkiem pracujących. Ztąd ilekroć udawał się do dworu papieżkiego, towarzyszyło mu do pięćdziesięciu dzielnych i dobrych malarzy, którzy w ten sposób starali się okazać cześć swemu mistrzowi. Wogólności żył on nie jak artysta, lecz jakby jaki książę. Jakże więc szczęśliwy jesteś, o kunszcie malarzski, żeś wydał geniusz, który cię swym talentem i cnotą wyniósł pod niebo.“

Rafael przyniósł już na świat ze sobą tę piękną swą naturę i tę zadziwiającą proporcjonalność sił w swém uzdolnieniu; ztąd rozwój jego odbywał się tak harmonijnie, przedstawiając organiczny wzrost, bez burz i wstrząśnień, ale zato pełen moralnej siły. Nie przechodził on tych walk duchowych, jakie miały s-tym Pawłem i Augustynem, Michałem Aniołem i Lutrem; los nie popychał go gwałtem ku zawodom sprzecznym z wrodzonymi skłonnościami, gdyż jako syn malarza, wychowywany też był na malarza. Okoliczności słowem były dlań tak przyjazne, jak dla Goethego, sposób zaś w jaki z nich korzystał świadczy o jego rozumie i woli. Przypadki trafiają się każdemu, mało kto jednak umie wyzyskać je należycie dla swych celów. Nie się tak nie przyczyniło do wielkości Rafaela, jak jego moralna siła i czystość; ztąd wypłynęła owa zadziwiająca energia, skutkiem której nigdy nie spoczywał na laurach i nie powtarzał niewolniczo szczęśliwie znalezionej formy, lecz przy każdej nowej pracy skupił cały zasób swych zdolności, dla oryginalnego wywiązania się z takowej. Geniusz bowiem także musi pracować, choć przytęm niewiele trudu marnuje na niepomyślne próby, gdyż pewną ręką trafia zwykle od razu na właściwe drogi.

Każdy wielki człowiek zjawia się we właściwym czasie. Gdyby Szekspir urodził się o pięćdziesiąt lat wcześniej lub później, to cała potęga jego dramatopisarskiego geniuszu na nieby się nie przydała; w pierwszym razie scena angielska nie byłaby dość przygotowaną do wystawiania jego utworów, w drugim znalazłby teatr zamkniętym przez purytanów. Cromwell wystąpiłby wtedy, z pomocą swego organizatorskiego geniuszu, wielkiego w pokoju i wojnie, by odbudować nanowo państwo. Wielki artysta lub myśliciel zbiera rozproszone cząstki do jednego ogniska i zakończają ostatecznie to, co długo było przygotowywanem.

Tak i Rafael doprowadził do ostatecznej doskonałości sztukę religijną, cel dążeń średnowiecznych artystów, i otworzył drogi do malarstwa historycznego, przedstawiającego w walkach i losach ludzkości wielkie czyny i idee Boskie. Zarówno artysta jak i uczone, jeżeli chcą organicznie pracować, muszą przyswoić sobie to, co zrobili ich poprzednicy; im wszechstronniej tego dokonają, tém wyższą będzie doniosłość ich twórczej potęgi. Rozwój geniuszu Rafaela był jednym z najszcześniejszych; wewnętrzna jego natu-

ra i zewnętrzne stosunki, charakter i los uzupełniały się harmonijnie nawzajem.

Ojciec Rafaela, Giovanni Santi, był malarzem w Urbino, ustronnem górskim miasteczku Umbryi, otoczonem wieńcem lesistych wzgórz, po za któremi wznosiły się śnieżne szczyty Apeninów. Piękności przyrody odpowiadała uroda mieszkańców; ztąd malarzom tamtejszym udało się prostotą starochrześcijańskich typów i form ożywić wdziękiem barw i linii. Giovanni był to człowiek poczciwy, z pewnym nawet literackim wykształceniem, o czém świadczy przechowana dotąd jego utworu wiészowana kronika czynów księcia Federiga z Urbino; jego obrazy zaś przekonywają, iż był dobrym malarzem; głowy aniołów mianowicie malował z takim wdziękiem, iż wrażenie jakie one wywarły na dziecięcym oku Rafaela odbijało się jeszcze w dojrzałym wieku artysty. Spędziwszy pierwsze lata życia w atmosferze szczęścia rodzinnego, odtwarzał później z niewyczerpanym talentem w swych Madonnach to, co z łaski niebios stanowiło najsilniejsze wrażenie jego dzieciństwa. Szczęście to jednak było krótkotrwałem. W dziewiątym roku utracił Rafael matkę, a nieco później ojca (1494 roku). Obok miłości, boleść była najważniejszą wychowawczynią młodej jego duszy. Już w rodzicielskim domu chłopię zajmowało się sztuką. Książęcy pałac w Urbino przedstawiał jeden z najświetniejszych pomników architektury renesansu. Posiadamy nawet rysunki Rafaela, wykonane z popiersi mędrców i poetów starożytnych, zdobiących bibliotekę pałacową. Rzeźby te, utwór flamandzkiego artysty, odznaczały się siłą charakterystyki i indywidualnym życiem, w przeciwieństwie do typów szkoły umbryjskiej. Jak widziemy, już w chłopięcych latach miał Rafael sposobność do zapoznania się z rozmaitemi kierunkami, których szczęśliwe zjednoczenie wydało wszechstronną jego doskonałość. Wiadomo że w pierwszych latach użył on drzeworytu z „Męki“ Dürera, odznaczającego się pełną siłą charakterystyką postaci i akcyi, za punkt wyjścia do swego sławnego „Chrystusa niosącego krzyż“, dodawszy to tylko, na czém zbywało niemieckiemu artyście — aurelę niebiańskiej piękności. „Ten Niemiec byłby niebezpiecznym współzawodnikiem dla Włochów — wyrzekł raz o Dürerze — gdyby mu znane były antyki.“

Wuj osiörociałego chłopięcia wziął je z rodzicielskiego domu i umieścił w Perugii, u Piotra Venuziögo, zwanego Peruginem. Wybór był bardzo szczęśliwym. Dziecięcy czysty duch Rafaela uczył się na początek wyrażać swe pojęcia językiem ojezycznej sztuki, która wystarczała dla sfery jego młodzieńczych uczuć. Słusznie powiada E. Förster: „Jak w początkach swego zawodu artystycznego Rafael w zupełności ulegał kierunkowi Perugia, tak i w dalszym życiu nigdy nie zaparł się swych początków, nie odrzucił jego wzorów i nauk, jak się porzuca zniszczony ubiór, lecz raczej wyrósł z nich, jak mąż z młodzieńca.“ Nie zerwał on gwałtownie ze swą przeszłością, ani się dał porwać na obce tory, lecz pierwotny zaród jego natury wzrastał stopniowo, przyswajając sobie co najpożądane, dopuszczając do siebie wszelkie wpływy, lecz oddzielając przytęm starannie ziarno od plew. Perugin pracował wtedy nad swem arcydziełem „Złożeniem do Grobu“, a jakkolwiek i on rzemieślniczo odtwarzał po kilkakroć szczęśliwsze swe pomysły, jednakże nie kazał genialnemu chłopcu, według tradycyjnej metody, kopiować swych utworów, by następnie umiał mu pomagać w wykonywaniu, lecz odbywał z nim gruntowne studia z natury. Wymagania mistrza przeszły w nawyknięcie u ucznia i temu to Rafael zawdzięczał sumiennosc i ścislosc rysunku, cechującą wszystkie jego utwory; ztąd to nie malował on nigdy postaci ubranych, bez poprzedniego nakręślenia nagiego ciała.

(Dalszy ciąg nastąpi).